Zostawić coś w umysłach

O drugiej edycji festiwalu artystycznego „Chopin IN the City”



Grazyna Auguscik, fot. Krystyna Andryszkiewicz

Bożena U. Zaremba

> Zawsze myślę, być może naiwnie, że w młodych umysłach coś zostaje

– mówi o swojej działalności na rzecz popularyzacji muzyki Fryderyka Chopina wśród młodego pokolenia **Grażyna**

Auguścik – fascynująca polska wokalistka jazzowa, która już po raz drugi organizuje w Chicago festiwal „Chopin IN the City" (22 lutego – 1 marca 2018 r.), tym razem wraz z Polsko-Ukraińską Fundacją im. Ignacego Jana Paderewskiego. Jest to wielowymiarowe przedsięwzięcie artystyczne łączące różne dziedziny i gatunki sztuki, a motywem przewodnim i głównym źródłem inspiracji jest muzyka Chopina.

A zaczęło się od pamiętnego koncertu w Millennium Park w Chicago, gdzie w 2010 roku Auguścik zaprezentowała 10-tysięcznej publiczności jazzowe interpretacje muzyki Chopina. Skład zespołu był dość nietypowy – cztery puzony, wokal, akordeon, ud (instrument strunowy uważany za przodka lutni) i harmonijka ustna. Gościem specjalnym był **Andrzej Jagodziński** i jego Trio. Wybitny krytyk muzyczny „Chicago Tribune", **Howard Reich**, który znał działalność artystyczną Auguścik z wcześniejszych, porywających projektów muzycznych i był wielbicielem jej pięknych jazzowych interpretacji, entuzjastycznie zachęcał do tego koncertu. Występ spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności. Niecodzienne, nowoczesne aranżacje muzyki Chopina przemówiły do wrażliwości mieszkańców tego wielokulturowego miasta, a artystka do dzisiaj spotyka ludzi, którzy wspominają ten koncert jako niesamowite, magiczne wręcz przeżycie.

Od tego koncertu, występując stale w różnych formacjach

wokalno-instrumentalnych, Auguścik cały czas marzyła o tym, żeby muzyka Chopina zaistniała wśród szerszej publiczności. Pierwszą edycję festiwalu zorganizowała w 2017 roku, z zamiarem przybliżenia jego muzyki różnym środowiskom i jednocześnie zarażenia i zainspirowania młodego pokolenia. Impreza trwa 8 dni, pomiędzy dwoma przyjętymi datami urodzin Chopina (22 luty i 1 marca) i prezentuje koncerty zarówno klasyczne jak i jazzowe wersje muzyki tego najbardziej znanego na świecie i najbardziej uniwersalnego polskiego kompozytora. Wystąpi między innymi jazzowa pianistka **Deanna Witkowski**, której czarowne, pełne kobiecego wdzięku interpretacje przemawiają do najbardziej nawet tradycyjnych melomanów.

Poza tym w programie są instalacje, prezentacje sztuk wizualnych, poezja, a nawet taniec nowoczesny. Na przyszły rok organizatorka planuje występ teatralny, który dałby młodym ludziom szansę opowiedzenia o muzyce ich własnym językiem, bo, mimo że festiwal jest skierowany do szerokiej publiczności, organizatorka zawsze myśli o stworzeniu projektów skierowanych szczególnie do młodego pokolenia. W tym roku, na przykład, dzieci z „Fabryki Wyobraźni PatriciaArt Studio" będą malować podczas koncertu, inspirowane muzyką Chopina. Odbędą się także warsztaty plastyczne, prowadzone przez polskiego artystę rzeźbiarza **Andrzeja Renesa**.

Jednym z bardziej niekonwencjonalnych artystów, którzy

wystąpią w tym roku będzie **Maria Pomianowska**, ceniona na całym świecie wykonawczyni na starodawnych instrumentach smyczkowych (grała między innymi z Yo-Yo Ma), która zagra na suce biłgorajskiej. Jest to staropolski 4-strunowy instrument smyczkowy, zrekonstruowany na podstawie akwareli Wojciecha Gersona z 1895 roku, a przechodzący w ostatnich latach istny renesans. **Maria Pomianowska** weźmie udział między innymi w koncercie „Mazurki" poświęconemu tej formie muzycznej, podczas którego wystąpi także młody pianista **Alexander Kraft van Ermel**. Wychował się na wyspie Curaçao na holenderskich Karaibach, z którą związana jest niesamowita wręcz historia, opisana w książce Jana Brokkena „Dlaczego jedenastu Antylczyków klęczało przed sercem Chopina?" Otóż okazuje się, że na wyspie Curaçao Chopina można usłyszeć w radiu prawie równie często jak w Polsce. Dotarła ona tutaj za sprawą pewnego pianisty, który przywiózł ją z Paryża już w 1860 roku, po czym przeszła na wyspie nietypową transformację, kiedy lokalni kompozytorzy zaadoptowali mazurki Chopina do tańca. Stąd echa i odcienie muzyki Chopina są wyraźnie słyszalne w tzw. „antylskich mazurkach".

Sama **Grażyna Auguścik** również wystąpi podczas kilku koncertów festiwalu. Oprócz muzyki Chopina to właśnie jej oryginalny głos będzie elementem wiążącym tego wydarzenia, jak również entuzjazm z jakim podchodzi do organizacji festiwalu, a trzeba przyznać, że posiada fantastyczny dar

wynajdywania niestereotypowych artystów, inspirowania ich do niebanalnych projektów i zarażania ich swoją kreatywnością. Nie zniechęca się trudnościami związanymi ze zbieraniem funduszy zdając sobie świetnie sprawę z tego, jak sztuce niszowej ciężko konkurować z muzyką użytkową, popularną, czy nawet poważną. Zależy jej na dotarciu do młodych ludzi, którym tego typu muzyka jest w ogóle nieznana. – To misja, moja i takich ludzi, jak ja – mówi.

W tym roku festiwal „Chopin IN the City" jest finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Nagrodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021, oraz przez program dotacyjny „Kulturalne pomosty" Instytutu Adama Mickiewicza.

24 lutego będzie można na żywo posłuchać koncertu przez Internet:

https://www.youtube.com/watch?v=_-bV-Vwl4W4&feature=youtu.be

Artykuł Howarda Reicha:

http://articles.chicagotribune.com/2010-07-23/-entertainment/ct-ott-0723-mkoj-20100723_1_polish-musicians-vocal-jazz-swings

Pełny program festiwalu:

http://soundsandnotes.org/event/chopin-in-the-city--february-22-march1-2018/

Jeżeli chcesz wesprzeć festiwal, tutaj możesz złożyć dotację, którą można odpisać od dochodu:

https://www.gofundme.com/chopininthecity



Grażyna Auguścik – wokalistka jazzowa, aranżer i producentka muzyczna – zdobyła uznanie krytyków i wielbicieli muzyki jazzowej swymi oryginalnymi, świeżymi interpretacjami oraz głosem o niepowtarzalnym brzmieniu. Sięga po różne gatunki muzyczne i czerpie inspiracje zarówno z muzyki klasycznej (znane są niebanalne wersje utworów Chopina) jak i z polskiej muzyki ludowej oraz muzyki światowej. Swoim śpiewem i projektami muzycznymi, jakie organizuje, przekracza muzyczne granice, łamie bariery i kwestionuje przyjęte standardy. Urodziła

się i wychowała w Polsce. W 1992 r. ukończyła prestiżową uczelnię Berklee College of Music w Bostonie, po czym osiedliła się w Chicago, które zachwyciło ją bujnym życiem artystycznym i kosmopolityczną atmosferą. Od lat współpracuje z czołowymi muzykami jazzowymi takimi jak Pauhlino Garcia, Jim Hall, Michael i Randy Brecker, Toots Thielemans, Urszula Dudziak, John Medeski, Kurt Rosenwinkel, Michal Urbaniak, Andrzej Jagodzinski, Jaroslaw Bester i wielu innych. Nagrała 20 płyt solowych, a jako gość wystąpiła na kilkunastu nagraniach innych muzyków. Jest założycielką i dyrektorem artystycznym fundacji Sounds & Notes, organizacji typu „non-profit" zajmującej się promocją muzyki i sztuki. Jest laureatką dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2011) oraz srebrnego medalu Gloria Artis przyznawanego przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2017).

Filozof bytu

Z Wilkiem Markiewiczem – malarzem i pisarzem, założycielem i twórcą „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego" w Toronto – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

> I nigdy nie doznając
>
> Istotnego znaczenia
>
> Zaczynasz je istnieniem
>
> Kończysz rachunkiem sumienia
>
> (W. Markiewicz, Okruchy bytu, z rozdziału „Życie”)

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od lat pisze Pan aforyzmy, które ukazują się w redagowanym przez Pana portalu internetowym „Vagabond Pages". Te układające się w ciągi znaczeń myśli, stwarzają obraz rzeczywistości widzianej Pana oczami. Dlaczego według Pana zagadnienia bytu, miejsca człowieka na ziemi, relacji Ja – świat zewnętrzny są z reguły pesymistyczne? Walka o przetrwanie kończy się klęską, a promienie życia są jedynie przerwami w podróży przez piekło?

Wilek Markiewicz: Mój pesymizm wynika z tego, że całe moje życie było borykaniem się. Tak mnie cholera na cały świat brała, że się wyżyłem, pisząc to, co napisałem. To było oczyszczenie myśli i ducha. Mam nadzieję, że moje myśli się komuś na coś przydadzą, że to nie było tylko puste pisanie.

Ktoś mi kiedyś pokazał pewnego domorosłego poetę. Był chyba Bułgarem, nie znałem go osobiście. Mieszkał gdzieś w suterenie, młody człowiek, ale kaleka. Był on ponoć zgorzkniały i złośliwy. Pisał wiersze, które mi się bardzo podobały. Kiedyś napisał: *jak to jest, że moje serce jeszcze śpiewa?*. Ja sobie wtedy pomyślałem – to jest młodość. Gdy się ma 20 lat to serce śpiewa, nawet w więzieniu. Więc kiedy serce przestaje śpiewać? Gdy zaczyna czuć dzień podsumowania, gdy zaczyna być wiecznie niezadowolone, bo to się nie udało, bo tamto się nie udało. Ja mocno przeżywam niepowodzenia, zresztą wszystko mocno

przeżywam. Czasami straszę siebie, co by było gdybym był kimś innym. Może bym został zakonnikiem, popełnił samobójstwo albo bym na wszystko splunął, nie wiem. Ale to nie jest moją naturą. Moją naturą jest działać, moja natura jest wrażliwa na piękno, czy to będzie literatura, sztuka czy muzyka wszystko jedno, ja tym żyję, ja się tym napawam. Tak więc jestem pesymistą, ale jednocześnie jest we mnie pragnienie życia i działania.

JSG: Oprócz publikacji Pana nowel i artykułów w prasie polskiej, hiszpańskiej i francuskiej, prowadzi Pan angielskojęzyczny portal internetowy „Vagabond Pages", gdzie można zapoznać się zarówno z Pana twórczością literacką, malarską, jak też pracą dziennikarską.

WM: Stronę odwiedza ponad 150 osób dziennie z całego świata. Moje aforyzmy tam umieszczone ukazują się z podaniem źródła na różnojęzycznych stronach internetowych. Fragment mojego artykułu „Dezinformacja jako zbrodnia wojenna" został włączony do książki Gregory James'a „Many a Slip?", (Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology 2001). To są takie przyjemne drobnostki. Ale ja zawsze szukałem ciągłości. Dlatego fascynowało mnie wydawanie gazety i stałe komunikowanie się z czytelnikami. Ja nie chcę być takim samotnym strzelcem, choć jak dotąd nim jestem. Taki los.

JSG: W zbiorze „Okruchy bytu" bardzo podobają mi się

aforyzmy z rozdziału „Twórczość”. Oddają one sens tworzenia, są głębokie i proste jednocześnie. Oprócz pisania ciągle Pan dużo maluje. Czyli Pan się czuje bardziej pisarzem czy bardziej malarzem?

WM: Mimo, że malowałem niemal od zawsze, oba nurty idą we mnie równolegle. Napisałem kiedyś o sobie: *Kiedy piszę, jestem malarzem, kiedy maluję, jestem muzykiem*. I ja to tak czuję, choć czasem trudno mi to przekazać.

JSG: Czyli nie ważna jest forma, ale istotny jest przekaz wewnętrzny, impuls.

WM: Ważne jest znalezienie tego „czegoś”, co skoncentruje moją uwagę. Ważne jest, żeby forma, kształt czy postać na obrazie mnie się podobała. Czasami poszukuję właściwego odbicia, tego, co jest we mnie. Ale najważniejsze, żeby mnie coś poruszyło, jak prądem. Przychodzi czasami coś, czego nie oczekuję, a to nagle zagra. Wtedy, kiedy maluję, to jakbym pieścił, jakby elektryczny prąd przechodził przeze mnie. „Ona” powstaje na nowo pod moją ręką, jakbym był Bogiem. Oby się to nigdy nie skończyło. To takie fizyczne doświadczenie.

Tak samo jest, gdy myślę, gdy piszę. Czuję wtedy, jakby coś we mnie się stwarzało, coś rosło materialnego, choć tam nie ma materii, tam są tylko słowa. Ale one tak się rozrastają, że tworzą

coraz większą strukturę, jak katedra. Tylko na taki stan nigdy nie można liczyć, że będzie na pewno.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Czy dla Pana twórczość jest ciągłym poszukiwaniem i odkrywaniem tych nie zbudowanych katedr?

WM: Twórczość dla mnie jest działaniem, działaniem i jeszcze raz działaniem. Te tworzące się struktury, są jakby poza mną i moją wolą. Ale teraz zaczynam być w kryzysie, zaczyna mi brakować motywacji. Motywacja też nie była nigdy zależna ode mnie. To było coś, co musiało na mnie spłynąć. Tylko to jest niebezpieczne, bo spłynie, albo nie. Nigdy nie wiadomo.

JSG: A co Pan teraz maluje?

WM: Teraz powstają nowe rysunki, które lubię. W malowaniu trochę przystanąłem. Toronto przestało mnie inspirować. „Wykorzystałem" już wszystko, co mogłem. Namalowałem nawet wyimaginowane ulice z prawdziwymi domami. Więc nie chcę się powtarzać. I czuję, że jestem zmęczony. Trzeba zrobić przerwę i zacząć wszystko od początku. Zaczyna być mi ciężko, bo wydaje mi się, że poznałem już kawał świata i nic już mnie nie zaskoczy. Ktoś kiedyś powiedział – po co komu wyścigi, skoro i tak wiem, że jeden wygra, a drugi przegra. Tak więc pójdę jeszcze na jedną ulicę, zobaczę jeszcze jedną budowlę. I co z tego? Zauważyłem nawet, że mogę pracować bez natchnienia. Ale po co? Na tyle godzin siedzenia, mieć potem zaledwie 5 minut przyjemności. Wiem, że jestem zmęczony, że potrzebuję wakacji, ale też boję się tych wakacji, bo jak długo można siedzieć pod palmą wśród wydm?

JSG: A czy wystawy, nagrody, uznanie ludzi nie dają energii do dalszego tworzenia?

WM: Przychodzą nagrody. No i bardzo dobrze, ale co dalej? Będzie druga nagroda, trzecia i co z tego? Będzie wernisaż, dwa razy na rok, przyjdą ludzie, będą jeść, pić, potem wyjdą. Nie czuję się dobrze w tym wirze wielkoświatowym, systemie zdobywania i nagradzania. Nie wszedłem w ten nurt, za długo

byłem samotnikiem. Ale z drugiej strony nie jestem pustelnikiem. To taka sprzeczność. Jak powiedziała jedna moja przyjaciółka – *Ty jesteś mistykiem i materialistą i oba wcielenia są w złych miejscach.*

JSG: Pana sztuka ma głębokie podłoże filozoficzne. Wszystko obraca się wokół istoty istnienia, bytu, życia, śmierci sensu tej naszej kosmicznej podróży.

WM: Intryguje mnie zagadka samej egzystencji. Idąc w głąb materii, odkrywamy coraz to nowe prawa rządzące komórkami, atomami. Nazywamy kolejny kształt, kolejną mikroskopijną cząstkę i dochodzimy do fali. Ale fali czego? Nie wiadomo. Dochodzimy do końca i dalej nie wiadomo. Trzeba wszystko zaczynać od początku. Bo jak może być fala bez materii. Taki to jest cykl.

Człowiek ciągle za czymś goni, ciągle gdzieś biegnie. Tylko po co? Tak jak w tej rozmowie na wsi dziadka z wnuczkiem – *musimy „egzystencjalizować", więc „egzystencjalizujmy*". Trzeba się w pewnym momencie zatrzymać, bo zaczynamy biegać w kółko. – *Idziemy tak daleko w mądrości, że niedługo złapiemy głupotę za ogon* – jak wyczytałem w graffiti w Genewie.

JSG: Czy Pana wykształcenie, ukończone studia z nauk biologicznych w Genewie, praca w Instytucie zootechniki

pod Paryżem, praca w szpitalu itd., zbliżyły Pana do życia, do natury, do przyrody? Czy stąd to Pana filozoficzne podejście do świata?

WM: Zawsze pociągała mnie biologia. Kocham przyrodę, naturę i ciekawi mnie porządek świata. Tylko nie miałem temperamentu naukowca, raczej filozofa. Powiedziano mi na uczelni, że mógłbym być chirurgiem. Ale operacje, to nie dla mnie. Więc zarzuciłem nauki biologiczne. Uniezależniłem się. Czułem się takim wolnym duchem. Pracowałem gdzieś u chłopa w Hiszpanii. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że czas leci. Jak sobie zdałem z tego sprawę, zacząłem żałować minionego czasu. Stąd ten mój pesymizm. Może to starość.

JSG: Podobno starzeje się mózg, a nie duch. A mózg można ćwiczyć.

WM: Mózg nie jest narzędziem, tylko odbiorcą, przekaźnikiem, jak stacja kolejowa. Wszystko co się w nas dzieje jest fizyczne, a nie emocjonalne. Inteligencja nie jest twórcza, inteligencja jest rekapitulacją. Twórczość jest wtedy emocjonalna, gdy przeżycie jest fizyczne.

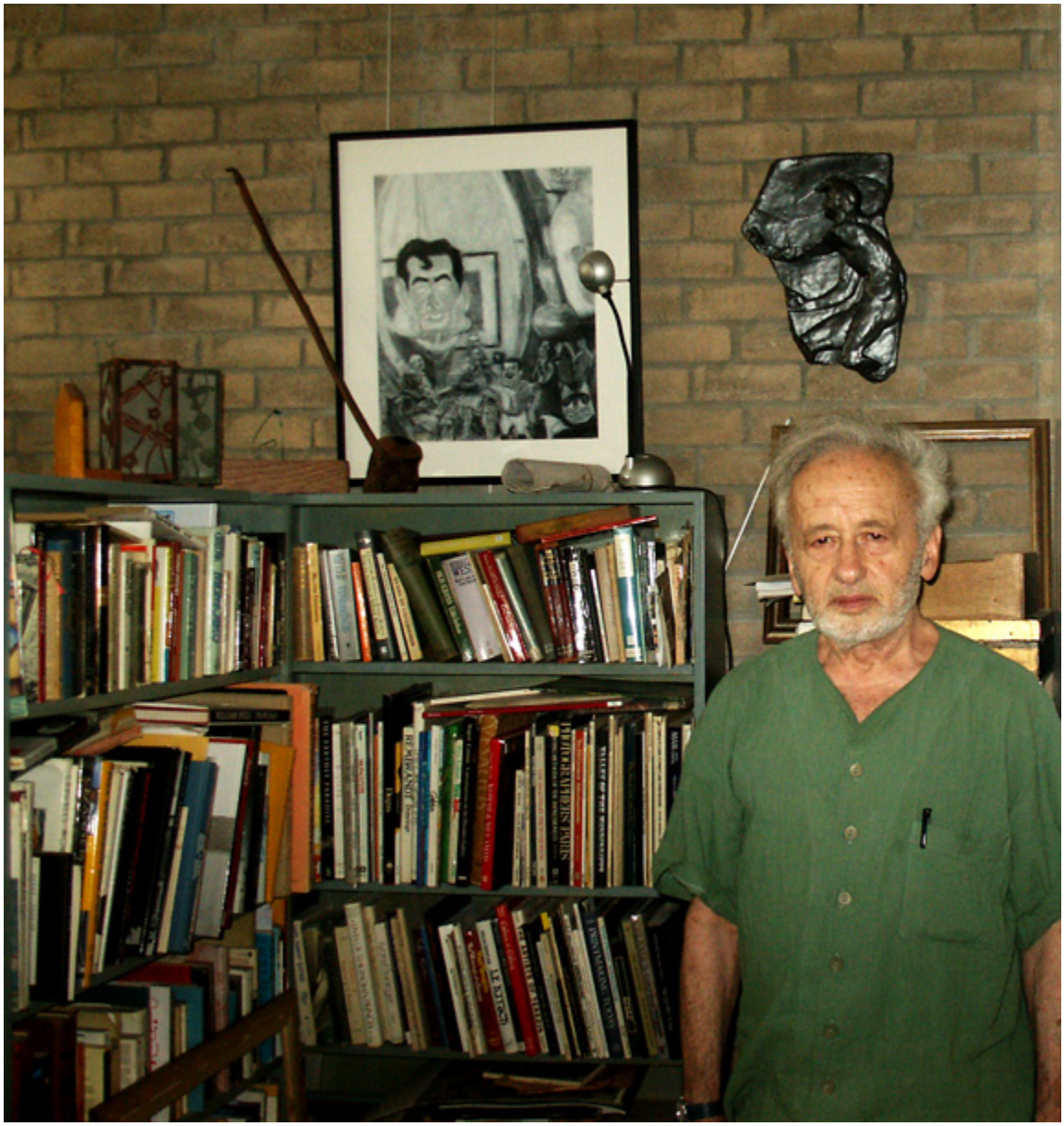
JSG: W technikach wschodu, mówi się, że wszystko co się w nas dzieje, zależy od nas samych. Sami musimy znaleźć w sobie swój potencjał.

WM – Zachodnia koncepcja mówi – po 40. my się powtarzamy, a wschodnia – po 70. zaczynamy się uczyć. Ja się zgadzam z zachodnią, z tą różnicą, że są różne formy starzenia się. Nie każdy człowiek starzeje się tak samo, niektórzy nie chcą się zestarzeć i nie chcą umrzeć, inni to akceptują. To jest fascynujący temat. Testuję go na samym sobie. Czy jeszcze mam tę pamięć, czy mam tę siłę, czy jeszcze potrafię? A jak nie, to chyba nie warto żyć.

JSG: Pan tak dryfuje po życiu, jak żeglarz szukający swojej wyspy. Urodził się Pan i mieszkał w Krakowie, ale potem wyjechał Pan do Paryża. Z Paryża skierował Pan swoje loty na studia do Genewy, potem znów znalazł się Pan w Hiszpanii. Żyjąc takim „bohemian life", jak to się stało, że znalazł się Pan w Toronto?

WM: Powód był bardzo zwyczajny – pamiętałem „Kanadę pachnącą żywicą" Arkadego Fiedlera. Ale wpadłem w sidła. Kiedy przyjechałem do Toronto zastanawiałem się, czy aby Fiedler się nie pomylił? To nie może być Kanada. Przybyłem w gorącym sierpniu, nie spodziewałem się takiego upału. Straszne ulice z drewnianymi słupami, jak z dzikiego zachodu. Wszedłem kiedyś do zakładu fotograficznego, potrzebowałem zrobić zdjęcie dla jakiegoś dokumentu, i widzę na ścianie fotografię panny młodej w ślubnej sukni, a tuż obok niej zawieszony portret wielkiego buldoga tej samej wielkości, co portret dziewczyny.

Pomyślałem sobie: *W Europie nie byłoby miejsca na takie „faux pas”.* Pytam więc dziewczynę obsługującą w zakładzie: *Przepraszam, czy to jej narzeczony?* A ona krzyknęła: *Ach!* i przestała na mnie patrzeć. No, myślę, skoro jeszcze nie straciłem poczucia humoru, to znaczy, że żyję.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak Pan wspomina początki pobytu w Toronto?

WM: Zacząłem od pracy w szpitalu Saint Joseph. Pracowałem tam parę miesięcy. Napisałem potem kilka historii w Vagabond. Święty Augustyn nauczał, żeby dawać pić niemowlętom. Bo on pamiętał prawdziwe pragnienie. Wiele dzieci umierało wtedy z pragnienia. Ja dodałem komentarz: *Do ostatniej chwili dajcie pić umierającym.* To jest z mojego własnego doświadczenia.

JSG: Ale dość szybko zaczął Pan współpracować z polską prasą.

WM: Pamiętam, przyszedłem do „Związkowca" do Bumka Heidenkorna i mówię – słyszałem, że jest tu polska prasa. Tu nie ma polskiej prasy – odpowiedział. – Jak będzie Pan miał pieniądze, to sobie Pan sam założy prasę. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że bez pieniędzy to potem zrobię. Jakiś czas współpracowałem z „Głosem polskim". Założyłem też kolumnę etniczną w „Toronto Sun".

JSG: Czy prosto było założyć kolumnę etniczną w kanadyjskiej prasie?

WM: Właśnie powstawała gazeta „Toronto Sun". Więc się zgłosiłem i zaproponowałem prowadzenie kolumny etnicznej. Powiedziałem, że czytam wszystkie języki słowiańskie, wszystkie

języki romańskie, znam dość dobrze niemiecki, skandynawski rozumiem, a z Koreańczykami mogę rozmawiać telefonicznie. Mój pomysł im się spodobał i mnie przyjęli.

JSG: Na czym polegała Pana praca?

WM: Redaktorzy różnych pism etnicznych przysyłali mi swoje gazety, a ja wybierałem najciekawsze artykuły. Była też prasa polska, ale starałem się jej nie faworyzować. Kolumna ta widać miała powodzenie, bo długo się utrzymała. Była to bardzo wyczerpująca praca, ale dała mi dużo satysfakcji. Przerwałem, gdy miałem już tego dość.

JSG: A jaką gazetą był założony przez Pana w 1972 roku „Kurier Polsko-Kanadyjski”?

WM: „Kurier Polsko-Kanadyjski” działał na podobnej zasadzie, co kolumna etniczna w „Toronto Sun” – trochę tego, trochę tamtego. Dostawałem gazety polonijne z całego świata. Oprócz własnych artykułów i rysunków, zamieszałem artykuły z prasy polonijnej. Wycinałem różne informacje i ciekawostki, naklejałem i drukowałem. Własny materiał drukowałem stosunkowo nowo powstałym offsetem. Ponieważ mam zmysł kompozycji, pomimo, że kolumny były różnego formatu, udało mi się tak strony skomponować, żeby trzymały się tekstu, były ułożone tematycznie i wyglądały efektownie.



„Kurier Polsko-Kanadyjski" – gazeta założona przez Wilka Markiewicza, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak doszło do tego, że w Toronto powstała pierwsza prywatna polska gazeta? Proszę opowiedzieć trochę szczegółów?

WM: Zaraz po przyjeździe do Toronto, pracowałem przez pewien czas jako pomocnik pielęgniarski (*orderly*) w szpitalu św. Józefa. Jednym z pacjentów na moim piętrze był wówczas polski ksiądz, zdaje się, że był to ks. Kowalski. Kolega – Polak, który pracował ze mną, powiedział mi, że ksiądz ten jest wysoką figurą w hierarchii kościelnej. Rozmawiałem z nim na różne tematy, przy jakiejś okazji zacytowałem mu swoją aktualną fraszkę: *Co to będzie z tego Gierka? Czy to ogier, czy to gierka?* Spodobało mu się, przyjemnie było rozweselić kogoś w szpitalu i pomyślałem

sobie: *Jaka szkoda że nie mam kontaktu z polską prasą, której bym mógł tę fraszkę zaproponować*. Już wówczas nosiłem się z myślą założenia polskiej gazety, lecz w tym okresie współpracowałem z gazetami hiszpańskimi, między innymi z „Correo Hispano-Americano", który mnie zainspirował do nazwy „Kurier Polsko – Kanadyjski" i z gazetą w języku francuskim „Courrier Sud". Zanim założyłem „Kuriera", ktoś mi doradził, może sam ks. Kowalski (?), żebym się skomunikował z jednym księdzem w polskim kościele na Dovercourt. Poszedłem tam i napotkałem młodego polskiego księdza, innego, niż ten, którego szukałem. Gdy mu powiedziałem, że mam zamiar wydać polską gazetę, dosłownie światło ukazało się w jego w oczach i rzekł: *Czy wie pan że ma pan piękną ideę?* – powiedział. Widziałem go tylko raz i przelotnie, nie wiem jak się nazywał i gdzie obecnie przebywa. O ile jest w Toronto i przypadkowo przeczyta te słowa, niech wie, że nigdy go nie zapomniałem, te słowa i to światło w oczach zawsze mi dodawało otuchy w ciężkich chwilach. Gdy „Kurier" był już na półkach sklepowych, doszli inni przyjaciele. Może pierwszym z kolei był mec. Aleksandrowicz, którego poznałem niestety tylko przez telefon. Wyraził się z wielkim uznaniem o „Kurierze", z głosu odniosłem wrażenie, że to bardzo dystyngowany pan. Nie zdążyliśmy się zapoznać, gdyż niedługo później zmarł. Poznałem p. Olbrychskiego, stryja aktora Daniela Olbrychskiego, który się bardzo zbliżył z „Kurierem". Ostatni kontakt miałem z nim listowny i tragiczny; zawiadomił mnie o lekarskim werdykcie co do swego beznadziejnego stanu. Życzył

mi, by „Kurier” rósł, gdy jego już nie będzie. Pamiętam też przelotne spotkanie, w polonijnym klubie na Beverley, z księdzem, który przyjechał z Polski z wizytą. Z honorów jakie mu czynili kombatanci wywnioskowałem, że to ważna figura. Zatelefonował mi w następnych dniach z podzięką „za ucztę duchową” , jaką mu sprawił „Kurier”. Dowiedziałem się też z miarodajnych źródeł, że ks. Tischner znał „Kuriera” i zwrócił uwagę między innymi na moje aforyzmy. Oczywiście, że poczułem się uhonorowany i wzruszony, bo wiedziałem o jego złym stanie zdrowia. Dalsze aforyzmy zamieszczałem z myślą o nim, z nadzieją, że znów do niego dotrą. Wszyscy życzliwi ludzie, i ci których wymieniam i ci, których nie wymieniam, ale pamiętam ich szczerozłote serce, dodali mi moralnej otuchy i w wielkiej mierze dzięki nim „Kurier” trwał.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Otaczał się Pan interesującymi, nietuzinkowymi ludźmi.

WM: Różni ciekawi ludzie przewijali się przez redakcję. Czy zna pani Edwarda Dragana? On pracował w Toronto jako szofer ciężarówki. Kawał chłopa. A do „Kuriera" pisał poezje. *Chodził on sobie wciąż po ulicach,/ mówił do siebie niesamowicie/ i modlił się po wszystkich kaplicach,/ takim dla niego było życie*. Tak pisał Edward Dragan. Snobistyczna Polonia go zlekceważyła.

Dlatego broniłem tych, którzy pisali z potrzeby serca. Bo tylko elitarne społeczeństwo, może sobie pozwolić na elitarne pismo.

JSG: Do dziś w wielu sercach istnieje Pan jako twórca „Kuriera”. Jeśli dotrze się chociaż do jednej osoby, która coś przeżyje dzięki nam, to znaczy, że było warto pracować, nawet bardzo ciężko.

Rozmowa została przeprowadzona w Toronto w 2004 r., a uzupełniona w 2010 r. Wiliam Markiewicz zmarł w listopadzie 2014 roku w Toronto.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kuriera Polsko -Kanadyjskiego 1972 -86 – pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim.

Współpracownik Canadian Political News & Life 1988 – 89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano – Americano (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencje NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Nagrody:
– Nagroda Kanadyjskiego Klubu Dziennikarzy Etnicznych.
– I nagroda i medal miasta Antibes na Międzynarodowej Wystawie Malarskiej na Lazurowym Wybrzeżu.
– Honorowe wyróżnienie na międzynarodowej wystawie malarskiej w Varese (Włochy).
– Honorowe wyróżnienie na wystawie miniatur w Toronto.

– The 2001 Miniature Book Society Distinguished Book Award, USA (za reportaż „Powrót do Paryża”, wydany przez Pequeno Press w USA).

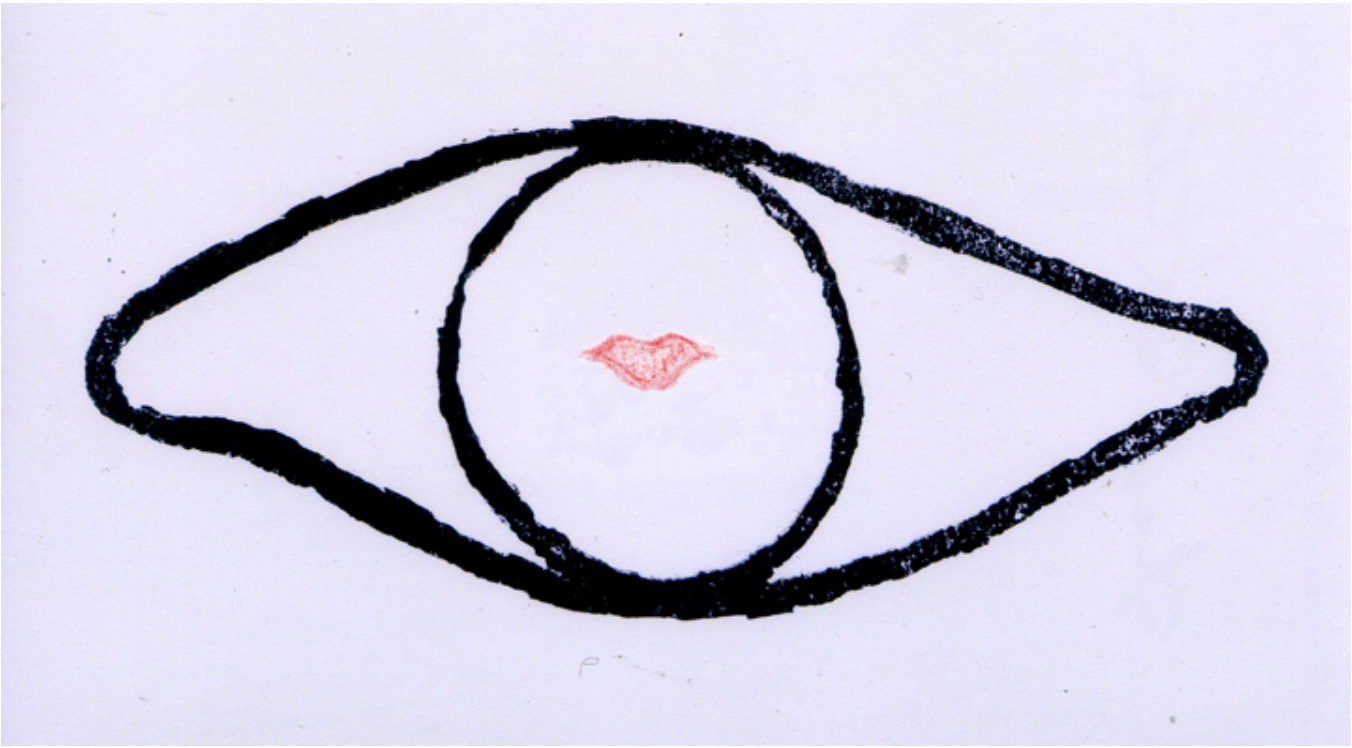
Członek:
The Philadelphia Print Club,
Toronto Press Club,
Alianza Cultural Hispano – Canadiense.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 – 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip…” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie, wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest

również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak.

„Don Juan” Joségo Zorrilli wciąż aktualny



Wilek Markiewicz, Świat Don Juana, drzeworyt.

Wilek Markiewicz

„Don Juan”, jak „Hamlet”, jest w pierwszym rzędzie analizą psychologiczną osobowości, nie zaś wgłębianiem się w specyficzną sytuację, jak np. „Edyp”, „Elektra”, czy „Romeo i Julia”. Tutaj bohater zmaga się w ramach wieczystej ludzkiej kondycji, mimo, że w tym wypadku chodzi o kondycję mniejszego kalibru. Don Juan tylko uwodzi, jakby nie było w życiu innych godnych uwagi celów. Idea „Don Juana" sama w sobie jest frywolna, lecz jest w niej coś, co ją odróżnia od jakiegokolwiek wodewilu erotycznego i zarazem ratuje bohatera przed własną pustką. Nie chodzi mi o część mistyczną i fantasmagoryczną, typową dla epoki autora, lecz o coś bardziej prozaicznego i wieczystego zarazem, powiązanego z osobowością bohatera.

Hiszpański twórca był zawsze mistrzem szkicu realistycznego. Don Juan Zorilli jest zarozumiałym fanfaronem, prostym i szczerym, jak jego przyjaciel Don Luis i jakimi są i będą zawsze rekruci, czeladnicy, studenci itp. Ta fanfaronada bez głębszego podłoża jest typową dla młodzieńczej żywotności. „Don Juan” jest więc swoistym „hymnem do młodości”.

Don Juan jest kompanem do wypitki i do wybitki, prymitywnym bohaterem, jak ci z młodzieżowych magazynów czy awanturniczych filmów. Zasługą autora jest połączenie podobnego bohatera ze zdarzeniami nadprzyrodzonymi, pełnymi

fantasmagorii. To nadaje dziełu czar nieco anachroniczny i tu porusza autor, jak Goethe, wieczysty temat człowieka o dwóch twarzach, Janusa, istniejącego mniej lub więcej w każdym z nas.

Analizując każdą sztukę, można ją sprowadzić do jej podstawowych punktów. W „Don Juanie" widzę ich trzy. Pierwszym będzie sama sztuka, która, jak każde wielkie dzieło, posiada wartość samą w sobie, poetycką i „muzykalną", wyrastającą ponad wszelką logiczną analizę. Drugim punktem jest bohater, jego osobowość, zaś trzecim, tło na którym działa, w tym wypadku kobiety.

W „Don Juanie" widzimy kobiety pośrednio, poprzez osobę bohatera. Donia Ines stanowi wyjątek, symbol, prawie że metafizyczny. O ile chodzi o kobiety z krwi i kości, widzimy, że dzieło Zorilli jest trzeźwym spojrzeniem na osobowość kobiety wieczystej, obecnie osiągającej swe wyzwolenie, z upadkiem tabu społecznego i seksualnego. Tym się to objawia, że kobiety wpadają w ramiona Don Juana agresywnie.

Jeśli Don Juan sprawia wrażenie, że dominuje kobiety, to przez swój „fason". Jest on mniej erotyczny od swych „ofiar", działając bardziej poprzez pewność siebie niż przez pasje. I tu role się zmieniają niepostrzeżenie. Don Juan osiąga swe cele zbyt łatwo i nie wiadomo czy zdobywa, czy jest zdobyty. Mit Don Juana rzuca światło na wyzwoloną kobietę jutra – naszego dziś – z jej siłą i

apetytami. Dla dzisiejszej kobiety kim jest Don Juan?

Jest to mężczyzna często prymitywniejszy od niej, który żyje – jak ona – w swym własnym świecie, z krótkimi przerwami samotności na polu sypialni, i który okazuje jej tę samą obojętność jak Don Juan na scenie. Ludzie wręcz odwrotnej kategorii, ci zranieni i napięci, nie są w żadnym wypadku Don Juanami. Przeciwnie, wciąż spotykają „Donie Juany", które dominują ich życie i każą im poświęcać dnie dla nocy. Mężczyzna odwrotny od Don Juana, pokonany, jest reprezentowany w innym arcydziele: „Carmen".

Czy temat zwycięzca *versus* pokonany, stanowi jedyne źródło inspiracji? Niekoniecznie. Flamenco proponuje trzecią alternatywę; wzajemne wyzwanie, wzajemny triumf protagonistów. Flamenco jest optymistycznym przyrzeczeniem szczęśliwej, miłości, dla wielu wyśnionej.

Artykuł ukazał się także w torontońskim tygodniku „LATINO" w języku hiszpańskim oraz w „Liście oceanicznym" – dodatku kulturalnym „Gazety" w Toronto.

Wilek Markiewicz, urodzony w Krakowie kanadyjski artysta, zmarł w Toronto w 2014 r. Filozoficzna rozmowa z Wilkiem na temat sztuki i życia, przeprowadzona w jego domu w Toronto przed jego odejściem, ukaże się w piątek,

16 lutego 2018 r.

Listy miłosne



Antonio Canova, Eros i Psyche, Louvre.

Władysław Pomarański

Jedyna serca i duszy Pociecho – tak się zwracał w swoich listach

miłosnych Jan Sobieski do swej ukochanej Marysieńki. Czytając je dzisiaj trzeba powiedzieć, że ten nasz powszechnie lubiany król nie tylko był wielki jako wódz, wojownik, kochanek poślubionej żony, ale i prawdziwy poeta, bo listy te brzmią jak poezja. Marysieńka nie była tak wylewna. W jej listach jest dużo sarkazmu, wymówek, przekomarzania się.

W przeszłości i obecnie takie wyrazy miłości to najczęściej dziedzina ludzi wolnych, młodych, zakochanych. W dawnych czasach te autentyczne uczucia często wyrażano listownie, szczególnie gdy przed młodymi piętrzyły się jakieś przeszkody w zbliżeniu się do siebie jak nieżyczliwość rodziców, różnice majątkowe, status społeczny itp. Listy te były piękne nie tylko językowo: były kaligrafowane na pięknym papierze, pachniały perfumami, najczęściej lawendą.

I dzisiaj ludzie zakochani listy piszą: owszem zdarzają się piękne, płynące prosto z serca, ale najczęściej są to zwykłe SMS-y czy inne e-maile, rzadko jest w nich coś porywającego, pięknego, często to przedruk jakiegoś wzoru listu z internetu – po co wysilać mózg! W czasach, kiedy nawet królowie nie umieli się podpisać miało się osobę zaufaną, która zaklęcia miłosne powtarzała słowo w słowo wybrańcowi czy wybrance. Gdy już pismo stało się faktem znanym elitom, pisano na tabliczkach powleczonych woskiem, na papirusie, na papierze, a tenże specjalny posłannik/posłanniczka przejmowali funkcję listonosza.

Gdy prawdziwi listonosze zjawili się na Ziemi nie zawsze ich używano do tego celu, bo w owych czasach nie istniało praktycznie pojęcie tajemnicy korespondencji i liściki takie wpadały w ręce osoby niepożądanej – więc dawni zaufani pośrednicy nie tracili pracy.

Egipskie listy miłosne

Już w II tysiącleciu starej ery listy takie pisano w Egipcie, wiemy to z pewnością, chociaż nie dochował się do naszych czasów żaden z nich. W tym okresie kwitła w kraju nad Nilem także poezja miłosna, to też rodzaj listu, co prawda nie skierowanego bezpośrednio do ukochanej czy kochanego, ale jest to entuzjastyczne dzielenie się swymi radościami, upojeniem, fascynacją kochankiem czy kochanką z innymi osobami. Okruchy tych wyznań miłosnych dochowały się do naszych czasów. Te wyznania adresowane była dla wszystkich co umieli czytać, dlatego miały większą szansę przetrwania: list miłosny skierowywany tylko do jednej osoby niszczono po przeczytaniu, bo chodziło o zachowanie tajemnicy o zakazanej miłości czy miejscu i czasie schadzki; list w formie utworu był bezpieczniejszym medium, bo trudno było zidentyfikować w nim osoby zakochane. Listy pisano też do zmarłych, a nawet bóstw,

prosząc o opiekę, ochronę przed nieszczęściami, itp. Takie listy nie były tajemne. Jeden z nich dochował się do naszych czasów. Był to list z XI wieku p.n.e zakochanego męża Butehamona do swej zmarłej żony Ichati. Zrozpaczony małżonek zastanawia się gdzie teraz znajduje się jego ukochana, do której się zwraca tymi słowami: *o doskonałe piękno, którego nie ma gdzie indziej*, marzy, by jak najszybciej znaleźć się przy niej.

Stary Testament

Księga Starego Testamentu Pieśń nad Pieśniami jest wspaniałym poematem miłosnym dwojga ludzi zakochanej w sobie, zinterpretowana przez żydów i chrześcijan jako hymn miłosny człowieka do Boga i odwrotnie. W poemacie występują Oblubieniec, czyli w interpretacji obu religii Bóg, Oblubienica to Naród Wybrany, lub chrześcijanie, ale wystarczy przeczytać tę starożytną perełkę uważnie, odciąć się o narzuconych religijnych interpretacji, by dojść do wniosku, że jest tam mowa o miłości dwojga młodych ludzi, miłości erotycznej, emocjonalnej, partnerskiej, pełnej uwielbienia i wzajemnego poszanowania. Kto nie czytał tej księgi powinien ją przeczytać i rozkoszować się nią! Aż dziw bierze, że ten poemat ma tak wiele pięknych słów o miłości, zauroczeniu drugą osobą, opisie piękna fizycznego i

duchowego tej osoby, tyle wspaniałych porównań itp., to dowód jak język hebrajski sprzed prawie dwu i pół tysiąca lat był bogaty leksykalnie! Ponieważ cały poemat to zachwyt i rozkoszne zauroczenie sobą, można go traktować jako list miłosny, bo to sposób podzielenia się swym szczęściem z innymi. Nie wiemy co spowodowało wejście tego poematu do kanonu świętych ksiąg judaizmu; chrześcijanie automatycznie przejęli prawie w całości kanon żydowski jako także swe księgi święte, a więc wśród nich automatycznie znalazła się Pieśń nad Pieśniami. To prawdziwe cacko literackie. Trzeba mieć jednak dużo wyobraźni, żeby widzieć w tym dziele wyrażenie miłości Boga do człowieka i człowieka do Boga – moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. Oto przypadkiem wybrane kilka zdań: Czy tak może konwersować Bóg z człowiekiem i człowiek z Bogiem?

Słowa Oblubieńca:

> Połóż mię jak pieczęć na twoim sercu, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol (miejsce pobytu zmarłych), żar jej to żar ognia, uderzenie boskiego gromu. Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki.

Słowa Oblubienicy:

> Mój miły jest mój, a ja jestem jego … Na łożu mym nocą szukałam umiłowanego mej duszy … Lewa ręka pod głową moją, a prawica jego obejmuje mnie … Niech mnie ucałuje pocałunkiem swych ust, bo miłość jego przedniejsza od wina.

Listy miłosne pisali Grecy i Rzymianie

Posługiwanie się w nich cytatami literackimi, ba, korzystanie nawet ze schematów listów miłosnych było na porządku dziennym – listy takie traciły przez to świeżość, intymność, niewinność. Niejaki Pseudo-Libanios napisał do użytku publicznego księgę z wzorami takich listów. Oto początek jednego z nich: *Kocham, kocham, na bogów, twą powabną postać.* Pewne chwyty epistolarne wymyślone przez Rzymian i Greków zachowały się do naszych czasów, a szczególnie ten z cytowanego przez poetę rzymskiego Propercjusza (I w.) z listu dziewczyny do chłopca przepraszającą go za łzy rozmazujące niektóre słowa i koślawe litery, bo jest blisko omdlenia. Na przestrzeni wielu wieków listy rozmazywano nie koniecznie łzami, a kulfony nie były spowodowane stanem omdlenia, ale po prostu brakiem sprawności w pisaniu. Niejaki Filostratos (I/II

w.) jest już mniej pompatyczny niż jego poprzednicy. Cytuje listy mężczyzn do panien, dojrzałych kobiet, mężczyzn do młodych chłopców, posługując się już słownictwem erotycznym, radzi być erudytą i cytować np. Homera. Niekiedy to zabawna, przekorna rozmowa zakochanych, inne listy chwalą urodę adresata. Urywek z listu do Nicety stał się jeszcze innym znanym wzorcem późniejszych listów:

> Zakochanie nie jest chorobą, tylko niekochanie. Jeśli miłość wchodzi oczyma, to ślepi są ci, którzy nie kochają.



Abelard i Heloiza, fot. Edmund Blair Leighton.

Średniowieczni Abelard i Heloiza

Średniowiecze zna wiele par kochanków, nas interesuje ta para,

po której zostały listy. On Abelard, w średnim wieku teolog w szkole która była zalążkiem Sorbony, ona Heloiza, młodziutka, inteligentna i oczytana, podopieczna bogatego wuja, kanonika paryskiej, jeszcze nie tej gotyckiej katedry Notre-Dame. Tenże wuj zatrudnił Abelarda – w owym czasie najsłynniejszego nauczyciela w Paryżu – by udzielał jej lekcji, no i karcił ją cieleśnie, gdy na to zasługiwała. Szybko przyszła miłość, odgłosy miłosne początkowo wuj brał za bolesne okrzyki podopiecznej w czasie wymierzania kary cielesnej jako niezbyt pilnej uczennicy, ale pewnego dnia nakrył ich *in flagranti*. Nie nacieszyli się sobą, zadbał o to zazdrosny o młódkę wujaszek (chyba ją szykował na własną kochankę) i by postawić kropkę nad i nakazał bandytom pozbawić Abelarda męskości, a Heloiza została zamknięta w klasztorze. Ale nieco przedtem Abelard po dowiedzeniu się, że Heloiza jest w ciąży, wykrada ją z domu kanonika, wiezie do siostry do Normandii, tam rodzi syna wychowywanego przez siostrę Abelarda. Potajemnie wzięli ślub: Abelard nie mógł się przyznać do stanu małżeńskiego, bo wtedy straciłby prawo nauczania teologii i filozofii. Kochali się do śmierci miłością coraz bardziej uduchowioną, ich listy zapełniały pustkę spowodowaną rozstaniem. W listach poruszają nie tylko temat swoich uczuć i przywiązania wzajemnego, dyskutują swoje pojmowanie sensu życia, wiary, winy, małżeństwa. Listy pisane były po łacinie. Przetłumaczył je na język francuski filozof naturalista Jean de Meung. Kiedyś fascynowała mnie ta niesamowita para, wiele na te tematy czytałem, przeczytałem

listy w tłumaczeniu francuskim i polskim. Nie ma tu miejsca, by szerzej rozwinąć wątek tej wspaniałej miłości, ograniczę się tylko do dwóch krótkich cytatów z listów Abelarda i Heloizy. Cytaty są wzięte z dość wczesnego ich tłumaczenia na język polski. List Abelarda był adresowany do przyjaciela, dostał się przypadkowo w ręce Heloizy; nawiązuje w nim do faktu udzielania lekcji dziewczynie:

> Rozłożywszy zatem księgi o wiele rzadziej rozmawialiśmy z sobą o kochaniu niż o nauce. Więcej było całunków niż uczonych wywodów. I częściej ręce dotykały łona niż kart księgi. O wiele częściej miłością płonące źrenice spoczywały na licach dziewczyny niż na martwych literach. W miłosnym roznamiętnieniu nie zaniechaliśmy żadnych objawów kochania, ale najdziksze nawet podszepty rozigranej wyobraźni spełnialiśmy.

Pierwszy list Heloizy do małżonka po rozstaniu jest mniej cielesny, bardziej uduchowiony, kobiecy, serdeczniejszy. Oto krótki cytat:

> Tym żywiej jestem godna pamięci, iżem Cię zawsze, jak każdy przyzna, kochała miłością bez granic. Ty wiesz najlepiej, mój miły, i wszyscy wiedzą, że tracąc Ciebie

> stradałam wszystko… Jeślisz sam stał się przyczyną nieszczęścia – stań się też ostoją i przyczyną wesela. Ty tylko jeden zasmucić mnie możesz, Ty tylko jeden pocieszyć, Ty tylko zelżyć mą żałość.

Abelard i Heloiza żyli we Francji; tam ludzie w każdym wieku mieli więcej luzu w tych i innych sprawach, poza tym Abelard całe życie walczył z biskupami i kanonikami, miał dystans do tego co oni reprezentowali. Heloiza trzymana krótko i niejednokrotnie bita przez wuja kanonika, nabrała dystansu do wszystkiego co moralność kościelna ucieleśniona w tym złym człowieku nakazywała czy zakazywała. Francja jest także krajem, który był kolebką dość odważnej jak na owe czasy poezji miłosnej, poezji trubadurów. Co prawda mniej więcej w tym samym czasie po drugiej stronie Pirenejów tworzono wspaniałą poezję miłosną w języku arabskim i pisano listy w tym stylu, ale o tym reszta Europy nie wiedziała, nikt prawie nie znał tego języka. Mój przyjaciel Florian Śmieja wydał tomik tej poezji w języku polskim w swoim tłumaczeniu, niestety tłumaczył te wiersze nie z oryginału, ale z tłumaczenia hiszpańskiego.

Seksualna moralność europejskiego średniowiecza

Była to moralność restrykcyjna, to były przede wszystkim zakazy. Kilku tzw. Ojców Kościoła, którzy po sobie zostawili ciekawe i mądre pisma, w sprawie współżycia seksualnego, nawet w małżeństwie, byli bardzo surowi, i to jeszcze w czasie, gdy celibat nie obowiązywał w Kościele. Seks w małżeństwie owszem, ale tylko dla prokreacji, żadnych pieszczot, żadnych innych pozycji we współżyciu poza tzw. misjonarską, nie można szukać w nim żadnej przyjemności, bo to już grzech ciężki. Czytając ich pisma na ten temat trudno się oprzeć wrażeniu, że ci ludzie mają rodzaj żalu do Pana Boga, że w tak „wstrętny" sposób odbywa się poczęcie człowieka. Był to, nie tylko moim zdaniem, wpływ religii Bliskiego Wschodu, zoroastranizmu, pojawiającej się w Kościele w kilku okresach jego dziejów jako różne formy manicheizmu, który w Europie zainfekował nawet tak wielkich ludzi jak największego prominenta chrześcijaństwa wczesnego średniowiecza św. Augustyna z Hippony – musiał przejść długą drogę, by otrząsnąć się z tych wpływów: wystarczy wczytać się w jego *Wyznania,* by się o tym przekonać. W jednym zdaniu powiem, że główną tezą manicheizmu i jego późniejszych mutacji było to, że ciało jest tworem złym, tworem szatana, trzeba pościć, pokutować, zadbać o duszę. Ponieważ różne grupy manichejskie posunęli się do tego, że odrzucali autorytet Kościoła, były wyniszczane, mordowane. Taki los spotkał pod koniec IV wieku wyznawców tego typu religii, pryscylian oraz jeszcze większe ludobójstwo katarów, (najbardziej znanymi ich grupami byli waldensi i albigensi) w XI-XIII wieku.

Początek zmian w patrzeniu na miłość i seks

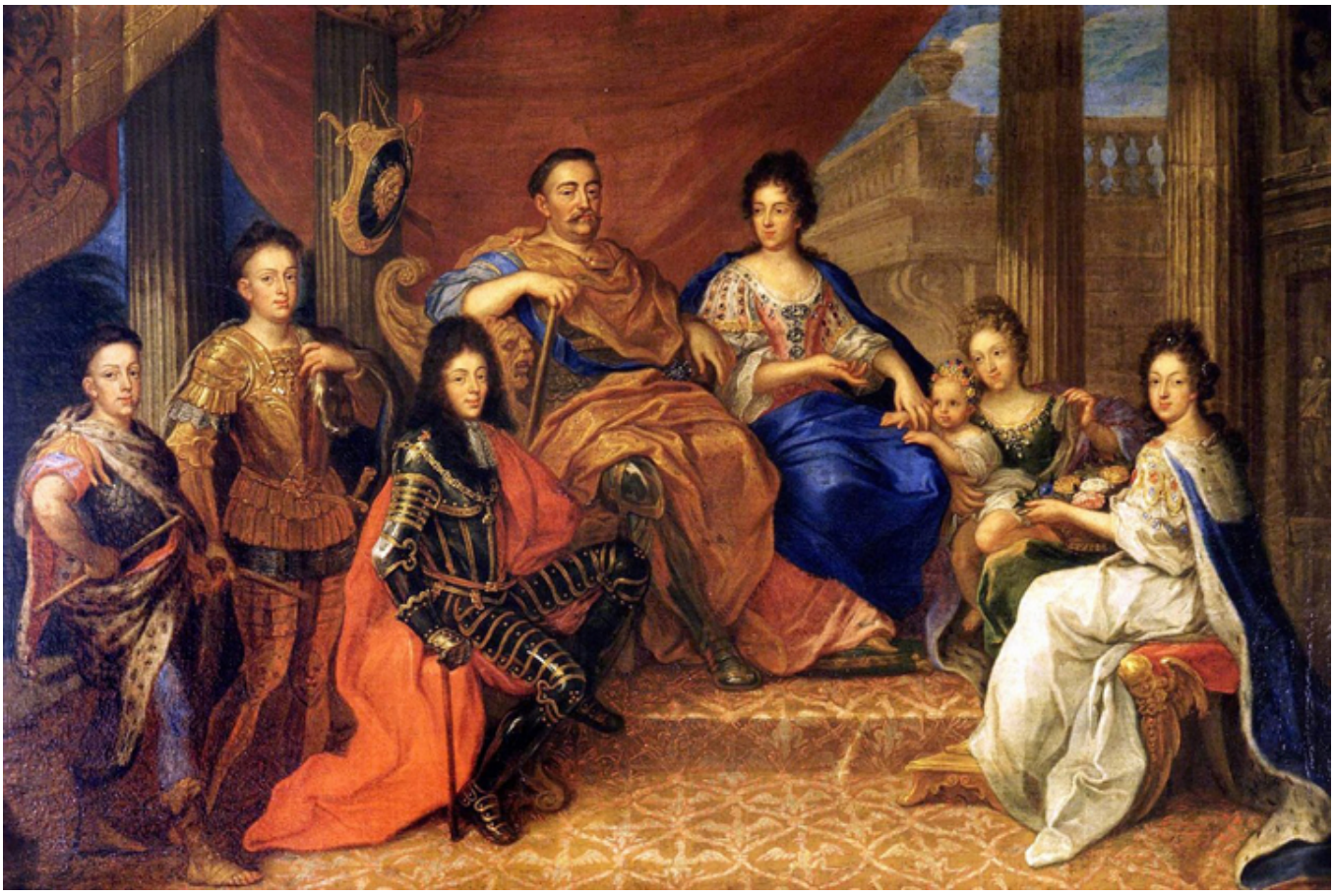
Pod koniec średniowiecza, a szczególnie nieco później w okresie renesansu, za przykładem wielu rozpustnych papieży ich owieczki też zaczęły patrzeć na miłość fizyczną innymi oczyma: zaczęto bardziej słuchać i naśladować to co starożytni mieli do przekazania, niż oficjalnej nauki Kościoła w tych sprawach. W listach miłosnych pojawiają się elementy rozkoszy, cielesności, jak choćby w tym anonimowym liście z XV wieku:

> Jak wielkich rozkoszy są źródłem Twoje piersi, tak czystą jaśniejesz pięknością, ciało twe tak pełne wilgoci, ma niewysławiony zapach.

W Polsce w bilecikach miłosnych pojawią się erotyczne treści dość późno. Pierwszy ze znanych takich polskich liścików z początku XV wieku jest dość oględny w wyrażaniu uczuć z racji rozstania kochanków:

> A tako z tobą się rozstając, serce me jęło bardzo płakać, a ja takoż ślubuję twej miłości nie zapominać.

Co prawda kochankowie zaczynają wspominać tu i tam o „pierzynce”, „spólnych zabawach”, ale dopiero w XVII wieku, w czasach największego dobrobytu (przynajmniej w klasach uprzywilejowanych) i potęgi politycznej Polski, epistolografia miłosna staje się bardziej cielesna, bardzo pompatyczna, a ponieważ nasz język jeszcze nie posiadał wielu intymnych wyrażeń, wciskano więc do listów słowa przeważnie francuskie.



Jan III Sobieski z żoną Marysieńką, fot. Wikipedia.

Jan Sobieski zakochany we własnej żonie

Dawał sobie radę nasz król Sobieski w doborze polskiej terminologii w listach do kochanej Marysieńki. Pisał z konieczności po polsku, choć ona była Francuską – bo jak twierdził „nie miał głowy do języków” – ona natomiast odpisywała mu na jego listy używając francusko-polskich sympatycznych makaronizmów. Ten silny mężczyzna żyjący w czasach, kiedy współżycie z kobietą uznane było wprost za konieczność życiową by unikać różnych chorób, trwał we wstrzemięźliwości, gdy był zdala od niej; skarży się tylko, że ten przymusowy celibat bardzo mu dokucza, że cyrulik upuszcza mu od czasu do czasu krew, która z racji na to oddalenie jest czarna jak smoła. Jego listy są wprost rozkoszne, jeśli kogoś czytającego nie razi ich zbytnio rozhuśtany styl. Oto krótki wyjątek z jednego z nich:

> Ja już ledwo żyw bez tego, moja duszko, ani spać, ani jeść, ani pić, ani chodzić, ani siedzieć niepodobna, żeby to milion razy na myśl przyjść nie miało, ale do ślicznej tylko muszeczki, którą całuję milion milionów razy i wszystkie śliczności dobrodziejki mojej, od nóżki aż do ślicznej gębusieńki.

Napoleon

Innego wielkiego wodza, cesarza Napoleona, też stać było na słowa miłości i przywiązania, dodam, że nie zawsze szczere. Do swej drugiej żony Marii Ludwiki Austriackiej, młodszej od niego o 22 lata, tak pisze:

> Proszę wierzyć, że nie ma nikogo na świecie, kto byłby tak do Pani przywiązany i tak chciał Panią kochać jak ja.



Maria Walewska

To było zwykłe zauroczenie Napoleona młodym ciałem, to nie była miłość, było to czysto polityczne małżeństwo. Cesarstwu chodziło przede wszystkim o to, by Napoleon przestał z nim walczyć. Ona pamiętała, że jej dalszą ciotkę, małżonkę Ludwika XVI, rewolucjoniści uśmiercili na gilotynie, a Napoleon w tym czasie zaczynał swoją karierę wojskową, służył Rewolucji, był w jakimś stopniu współodpowiedzialny za tę okrutną śmierć. Cesarzem ogłosił się sam, wbrew wszelkim zwyczajom, tradycji. Sam nałożył na swą głowę koronę cesarską. Chciał, by go świat uznał za cesarza, chciał stać się założycielem dynastii cesarskiej, więc jego dzieci musiały się narodzić z prawdziwej córki cesarskiej. To było powodem rozwodu z jego pierwszą cesarską małżonką Józefiną, chyba jedyną kobietą, którą tak po żołniersku, po korsykańsku kochał. Ta druga cesarzowa, Maria Józefina, owszem, dała mu syna, którego tatuś nazwał Napoleonem II; ten nigdy nie zasiadł na tronie, był chorowity, umarł młodo w wieku 21 lat, co dla historyków nie jest żadną niespodzianką, bo już od kilku wieków u Habsburgów, zniszczonych genetycznie przez małżeństwa w rodzinie, była to raczej reguła niż wyjątek, że dzieci nie chciały przychodzić na świat, a gdy się rodziły, były najczęściej obciążone genetycznie. Nie kochała Napoleona, po jego upadku wyniosła się z Francji do swej posiadłości, wyszła ponownie za mąż, o ojcu swego dziecka zapomniała kompletnie.

Zanim Napoleon pojął za żonę córkę cesarską miał oficjalną żonę

także z tytułem cesarzowej, wspomnianą Józefinę de Beauharnais, sześć lat starszą od niego. Współżył z nią (i z Marią Walewską) gdy był oficjalnie związany z Habsburżanką. Było to burzliwe małżeństwo, zdradzali się na lewo i prawo, ale po swojemu kochał ją; gdy wracał po klęsce w Rosji, już spod Smoleńska to do niej wysyła posłańca, a nie do aktualnej żony, żeby się nie myła, bo jest spragniony jej miłości (taki sobie dziwny fetysz), a jego ostatnie słowa przed śmiercią miały być: „Ojczyzna, Armia, Józefina". Tuż przed ślubem tak do niej pisze:

> Słodka niezrównana Józefino, co za przedziwny czar powodujesz w mym sercu, przesyłam tysiąc całusów, ale nie oddawaj mi żadnego, bo to powoduje, że moja krew zaczyna wrzeć.

Pisał do niej codziennie, choć, jak wspomniałem, to było dość trudne małżeństwo. Nie zapomniał, że jej zawdzięcza swą karierę, bo ona po utracie zgilotynowanego męża stała się kochanką głównego dyrektora Rewolucji po śmierci Robespierra, Paula Barrasa. A może ocaliła mu życie, bo przez dwa tygodnie był więziony oczekując na decyzję sądu rewolucyjnego o swym losie, jako że był z zażyłach stosunkach z młodszym Robespierrem. Barras, chyba pod wpływem sugestii kochanki, uznał, że będzie przydatniejszy żywy, niż martwy, dzięki niemu i Józefinie prawdopodobnie uniknął spotkania ze słynną gilotyną

paryską.

Napoleon miał zdrowego syna z Marią Walewską, wyposażył ją i syna; o nim historia szybko zapomniała, bo z racji na mamę nie był materiałem na cesarza. Gdy go Maria z synem, w towarzystwie swego brata, odwiedziła jako wygnańca na Elbie, musiała udawać, że jest Marią Ludwiką, a jej syn synem cesarzowej – nie chciała tej już zachodzącej w historii Europy gwieździe psuć reputacji, że ma dziecko z tak nisko znajdującą się na drabinie społecznej kobietą, bo tylko szlachcianką.

Listy miłosne w okresie romantyzmu

Na przełomie wieków XVIII i XIX Europą zawładnął romantyzm – prąd ideowy, literacki i artystyczny, który mocno zmienił patrzenie na świat i wgląd we własną duszę. Wśród wielu słów i pojęć, niektórych nowych, innych przywróconych do użytku, słowo miłość stało się znowu bardzo modnym. Teraz ktoś, kto się nie kochał, uważany był za niepełnego człowieka. Począwszy od carycy, jej kochanka króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, poprzez innych wielkich tego świata, wszyscy poświęcali miłości swój czas, o niej dużo pisano, była na ustach każdego. Jednym ze słynnych kochanków romantycznych był poeta angielski lord

Byron. Jego miłostki trudno by było policzyć na palcach rąk i nóg. Gdy jednak jego młodziutka siostra w liście wyznaje mu, że jest zakochana, brat dziwnie na to reaguje. Chyba był nieszczery, a może znudziły się jego liczne miłostki, więc by uchronić kochaną siostrę, niedoświadczoną w tej materii od przyszłych kłopotów, tak jej odpowiada:

> Miłość, moim skromnym zdaniem, jest zupełną niedorzecznością, niczym więcej jak paplaniną złożoną z pochlebstw, urojeń i oszukaństwa.

Drugi z dwóch największych poetów romantycznych Wielkiej Brytanii John Keats pisywał piękne, natchnione listy do swej wybranki. Będąc w Rzymie odwiedziłem jego skromny grób, zapomniany przez prawie wszystkich z wyjątkiem niektórych ludzi pióra z Wyspy.



Zygmunt Ajdukiewicz, Tadeusz Kościuszko uczy Ludwikę Sosnowską.

Pierwsza miłość Kościuszki: Ludwika

W literaturze romantycznej można znaleźć setki pięknych, natchnionych listów miłosnych. Nie sposób ich tutaj nawet wymienić, skoncentruję się jeszcze na Polaku, żyjącym na przełomie klasycyzmu i romantyzmu, Tadeuszu Kościuszce. Był początkowo biednym szlachcicem „bez ziemi”, bo połową wioski, która została dla niego po ojcu, zarządzał brat Józef; ten zaprzepaścił całą dziedziczną posiadłość swoją i brata. Mimo tego miał niesamowite wzięcie u kobiet. Jego pierwsza i

największą miłością była Ludwika Sosnowska. Był jej nauczycielem głównie matematyki, a równocześnie planował ogrody w posiadłości jej ojca. Zakochali się w sobie. Ojciec, który dorobił się na różnych przekrętach i donosicielstwie do carycy, nie chciał przystać na ich małżeństwo. Postanowili uciec, ale tata czuwał. Jego służba schwytała uciekających, poturbowali mocno Kościuszkę. Ludwika, która przyrzekła Kościuszce dozgonną miłość, schroniła się do klasztoru przed niechcianym małżeństwem zaplanowanym przez ojca. Zza furty klasztornej nie można jej było porwać, bo to byłoby zbezczeszczeniem miejsca świętego, a z Kościołem i wtedy nikt nie miał odwagi zadzierać. Użyto więc podstępu powiadamiając ją o śmierci w rodzinie i w drodze na cmentarz tatuś porwał ją i oddał za żonę magnatowi Józefowi Lubomirskiemu. Ona była, jak na owe czasy, już starą panną, miała 25 lat, jej kochanek Kościuszko był trzydziestolatkiem. Ludwika nie miała wyjścia, musiała wyjść za Lubomirskiego z zastrzeżeniem, że tylko ciało będzie należało do niego, dusza jej jest oddana do śmierci komuś innemu, co dla małżonka nie było żadną przeszkodą. Nastąpił okres czułych listów między dawnymi kochankami, Lubomirski studził te zapędy przez powodowanie wielokrotnej ciąży – urodziła mu kilkoro dzieci. Jej syn Henryk z tego małżeństwa był wyjątkowo ślicznym dzieckiem.



Księżna Marszałkowa Izabela Lubomirska z posągiem Henryka Lubomirskiego.

Zobaczyła go pierwsza dama w Królestwie, najbogatsza kobieta Polski, zauroczyła się dzieciakiem (była wtedy wdową, urodziła tylko kilka dziewczynek). Była to Elżbieta Czartoryska, po

wyjściu za mąż wolała używać swojego drugiego imienia, a więc od tej pory była znana jako księżna Izabela Lubomirska. Przejęła po prostu chłopca jako własne dziecko od innej biedniejszej Lubomirskiej, wspomnianej Ludwiki. To też była tragedia życiowa dla tej drugiej, no ale pierwszej damie Rzeczpospolitej niczego się nie odmawia, nawet faktycznej utraty dziecka, bo Henryk jako dzieciak i dorastający młodzieniec z prawdziwą matką chyba się się kontaktował. Bogata Lubomirska zjeździła z nim całą zachodnią Europę (miała kilka pałaców nie tylko w Polsce, wśród nich pałac w Nałęczowie i Wilanów, ale i w kilku stolicach europejskich). Henryczka portretowali, malowali, rzeźbili najwybitniejsi malarze i rzeźbiarze Europy. Jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy klasycyzmu Antonio Canova stworzył rzeźbę Henryka jako nagiego bożka Erosa – był to raczej Erosik, bo reprezentował go dziewięcioletni chłopiec. Chłopca niejednokrotnie rozbierano do naga musiał tak godzinami pozować także przy innych jego wcieleniach w różne postacie mityczne. Gdy stał się pełnoletnim przybrana matka ożeniła go z bogatą Czartoryską i wywianowała swoimi posiadłościami. Dziwna rzecz, człowieka tego nie zmanierowały szaleństwa tej kobiety, stał się szanowanym działaczem politycznym na rzecz Polaków w zaborze austriackim, mecenasem sztuki i polskiej twórczości literackiej. Dla Ossolineum we Lwowie przekazał 2200 cennych druków i założył w tym mieście Muzeum Lubomirskich. Do śmierci był bardzo przystojny – widziałem go na kilku reprodukcjach jego portretów

już jako człowieka dojrzałego. Wspaniały człowiek i Polak!

Wróćmy do Ludwiki i Kościuszki. Listy się skończyły, ale nie skończyła się szalona miłość do Tadeusza. Dzięki jej cichej protekcji u króla przyjęty został z powrotem do armii po powrocie z Ameryki. Już jako prawie niewidoma staruszka płakała, gdy słyszała jego imię. Wcześniej Kościuszko po opuszczeniu Polski kontynuuje w Paryżu studia inżynierii wojennej, a po ich skończeniu wyjeżdża do Ameryki, by pomóc w walce o wolność rodzącym się Stanom Zjednoczonym. Wrócił do kraju w glorii zwycięzcy, wyzwoliciela, człowieka, który upokorzył nielubianych, także i w owych czasach, Anglików.

W Polsce stał się twórcą i szefem powstania – ostatni taki desperacki krok, by ratować Polskę. Mając 38 lat, stał się prawdziwą gwiazdą, ludzie garnęli się do niego; gdy zjawił się we Lwowie rzesza kobiet rzuciła się na niego odrywając mu guziki od munduru i odcinając jego pukle. Największe magnatki Rzeczypospolitej ofiarowywały mu swoje córki za żony. On chyba jeszcze nie zapomniał o swej pierwszej miłości, poza tym miał plany, by się oddać bez reszty ratowaniu Rzeczpospolitej. Odmówił pierwszej damie kraju Izabeli Lubomirskiej ofiarowującej mu za żonę jedną ze swych córek; musiał odmówić hrabinie Konstancji Zamoyskiej, która chciała oddać mu za żonę czternastoletnią córkę Annę. Te odmowy nie zrażały jednak wielkich pań, co więcej, w ich umysłach rosła jego estyma, że dla

dobra Rzeczpospolitej wyrzeka się takich wspaniałości jak ich córki.

Drugie zauroczenie Kościuszki: Tekla

Czas biegł, pierwsza miłość Kościuszki powoli odeszła „za góry, za lasy”, wtedy nasz bohater zakochuje się po raz drugi w 1791 roku w osiemnastolatce Tekli Żurowskiej. Spotkali się na południu Polski w Międzybożu, gdzie generał stacjonował ze swoim pułkiem i gdzie zjawili się Żurowscy w celu leczenia jakiejś choroby tatusia u słynnego lekarza tu rezydującego. Znudzona panna zaczęła słać liściki, coraz to odważniejsze, do Kościuszki. On już w średnim wieku (miał wtedy 45 lat) zakochał się w niej, była to jego druga miłość, choć nie druga kobieta w jego życiu. Tatuś panny przerażony tym co się święci rezygnuje z opieki lekarskiej, w otoczeniu dużego kordonu wojskowych, by Kościuszce nie przyszła pokusa porwania córki, opuszcza Międzyboże. Tak się skończyła ta przygoda, nie ustały jednak listy zakochanych. W jednym z nich Kościuszko tak pisze do Tekli.

> Cały mój umysł pomieszany, gorycz w mem sercu i czuję

> gorączkę szarpiącą me wnętrzności. Idź spać i zaśnij w myślach tobie miłych… przytul głowę do spokojności poduszek, otwórz swe piersi z serca do ucałowania przez mnie.

To powodzenie generała u kobiet zaintrygowało nawet carycę Katarzynę, jedną z największych ladacznic swoich czasów. Gdy znalazł się w niewoli wypytała go o najdrobniejsze szczegóły dotyczące jego spraw męsko-damskich poprzez śledczego, między innymi o to, które to wielkie panie chciały oddać mu swoje córki, dlaczego nie korzystał z tak hojnych darów. Kościuszko, „dla zmylenia przeciwnika" uparcie twierdził, że nie korzystał z ofert, bo miał zamiar ożenić się z bogatą, starszą od siebie owdowiałą panią Potocką.

Konkludując

Na przestrzeni dziejów piękne listy miłosne pisali ludzie wielcy i sławni, poza wymienionymi setki innych, na przykład Beethoven do niezidentyfikowanej do dzisiaj kobiety, Fryderyk Chopin do kobiet które kochał, Winston Churchill do swej żony w czasie rozstanie podczas wojny; a także ludzie podli, którzy zeszli z tego

świata jako super-zbrodniarze; dobry przykład to czułe listy do żony i dzieci Heinricha Himmlera – prawej ręki Hitlera w eksterminowaniu nie tylko żydów. Pisali takie listy ludzie nikomu nieznani, prości; dopiero ich dzieci lub wnuki, po odkryciu tych listów gdzieś na strychach czy w piwnicach domów publikowali je – są równie piękne i wzruszające jak listy tych osób na świeczniku.

Dzisiaj tak pięknych, płynących prosto z serca listów prawie nikt nie pisze. Prawie nikt, bo są chlubne wyjątki. Oto urywki z pięciu takich autentycznych i szczerych listów:

> Ja dzięki Tobie żyję. Ty mi pomogłaś narodzić się ponownie. Teraz znowu umiem kochać i marzyć… Kiedy jesteś blisko, to cały świat znika. Przy Tobie jest wszystko lepsze, cudowniejsze. … Każda chwila, którą muszę spędzić z dala od Ciebie wypala moje wnętrze. Tak bardzo pragnę się do Ciebie przytulić, głaskać Twoje miękkie włosy i okrywać pocałunkami cudowną twarz… Przy Tobie pięknieje świat.

Wytrwać – za siebie i za naród

Florian Śmieja



Tymon Terlecki, 1965 r., fot. Aleksander Janta, arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Wszyscy, którzy pamiętamy Tymona Terleckiego (1905-2000), cieszymy się, że ukazała się jego książka zatytułowana przez edytorów „Emigracja naszego czasu”. Jest to wybór publicystyki skierowanej do emigracji walczącej w 1945 roku, do tych Polaków, którzy nie akceptowali porządku pojałtańskiego i odmówili powrotu do PRL-u zyskując epitety „niezłomnych”, czy „nieugiętych” względnie „pachołków imperializmu”.

Jerzy Święch, tego redaktora „Polski Walczącej” i dwukrotnego prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, nazwał ideologiem polskiej emigracji i wizjonerem jej przyszłych dróg. Wespół z Niną Taylor, drugą żoną Terleckiego, wydał celniejsze teksty jego publicystyki, których konspekt pod tym samym tytułem leżał gotowy od 1947 roku.

Artykuły prezentowane w książce zgrupowane są pod nagłówkami: „Emigracja polska wczoraj i dziś”, „Emigracja i kraj”, „Kultura i literatura”, „W kręgu NiDu”. W aneksie znajdziemy m.in. tekst uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie niedrukowania w PRL-u.

Terlecki już w 1945 roku apelował do Polaków, którzy znaleźli się na Zachodzie o powzięcie wielkiej decyzji. Był to czas, kiedy wydawało się, że po klęsce Niemiec zacznie się kolejna wojna, wojna o kulturę. Terlecki radzi:

> Heroizm emigracji polskiej 1945 roku jest prosty: wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej. Wytrwać – za siebie i za naród.

Sygnalizuje tytaniczność czekających zmagań wskazując – jak to czynił później Zbigniew Herbert w poezji – na przymus wierności.

> Jeśliby kultura europejska miała nie wytrzymać nadchodzącej próby, paść w tym kataklizmie – musimy być przy niej, aby jej dać rozgrzeszenie za najcięższą winę, jaką na siebie wzięła.

Tą winą było wydanie Polski komunizmowi, przyzwolenie na „mord cywilizacyjny na Polsce". W odpowiedzi zaś na pokusę tych naszych rodaków, którzy roztaczali ułudną perspektywę możliwości działania w potężnym obozie rozciągającym się od Łaby do Władywostoku, Terlecki wołał:

> Musimy natężać polskość, polskość wiązać z europejskością.

Nazwisko Terleckiego łączymy często z uchwałą Związku Pisarzy

Polskich na Obczyźnie z 1947 roku, by pisarze żyjący poza Polską nie ogłaszali swoich utworów w kraju pozbawionym wolności słowa. Aczkolwiek nie był on jej inicjatorem, to złożył pod nią swój podpis i w artykułach jej bronił:

> Zdawaliśmy sobie wyraźnie sprawę ze straszliwej ceny, jaką każdemu z nas przyjdzie zapłacić, z ogromu wyrzeczenia osobistego, z ciężaru nienawiści i zniesławienia, który trzeba będzie dźwignąć.
>
> Podjęliśmy to z całą świadomością. Doskonała pisarka, która przez łagry sowieckie przeniosła nieskażoną prawość ludzką i pisarską, powiedziała wtedy z gorzkim męstwem: „Jesteśmy pisarzami bez czytelników, ale tak trzeba. To nie jest na zawsze”.

„Tak trzeba. I to nie jest na zawsze” – konkludował Terlecki

Teraz mamy kompendium jego wypowiedzi i teksty dokumentów, słów gorących i euforycznych deklaracji. Terlecki, znany nam jako człowiek teatru i wyśmienity jego znawca i krytyk, przez pierwsze dziesięciolecie emigracji zapisał pamiętną idealistyczną kartę stając się gorącym orędownikiem politycznej emigracji dźwigającej moralną odpowiedzialność za Polskę w opinii świata, emigracji, która nie miała doczekać momentu powrotu,

choć nigdy zeń nie zrezygnowała.



Tymon Terlecki przy pracy, Londyn 1957, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Za udostępnienie archiwalnych fotografii Tymona Terleckiego

dziękujemy pani Ninie Taylor-Terleckiej.

Redakcja

Tymon Terlecki, Emigracja naszego czasu. Wyd. UMCS, Lublin 2003 r.

Historia literatury hiszpańskiej



HISTORIA LITERATURY hiszpańskiej

Beata Baczyńska

PWN



prof. Beata Baczyńska

Beata Baczyńska

Kultura hiszpańska stała się w ostatnich latach bardzo żywo obecna w Polsce. Lawinowo rośnie liczba uczących się języka hiszpańskiego, coraz częściej na listach bestsellerów pojawiają się hiszpańskojęzyczni autorzy z Półwyspu Iberyjskiego, coraz większa liczba Polaków zna z autopsji Hiszpanię, jej fascynujące pejzaże i zabytki. W tych okolicznościach powstanie syntezy dziejów literatury hiszpańskiej, która pokaże jej związki z kulturą europejską i światową, rozjaśni uwikłanie w historię, pozwalając

dostrzec jej specyfikę na tle innych literatur w Europie, była naglącą koniecznością. Tym bardziej, że jedyna polska *Historia literatury hiszpańskiej* Marii Strzałkowej, określona w podtytule jako zarys (Wrocław 1966), ma niemal pięćdziesiąt lat (to opracowanie zostało wznowione w pierwszym tomie *Dziejów literatur europejskich* pod red. Władysława Floryana, Warszawa 1977), a dwutomowy podręcznik Ángela del Río w przekładzie Kazimierza Piekarca i Kaliny Wojciechowskiej (*Historia literatury hiszpańskiej*, Warszawa 1970 i 1972) powstał w 1948 roku (polskie tłumaczenie oparto o drugie poszerzone wydanie z 1963 roku).

Historia literatury hiszpańskiej pisana u progu drugiej dekady XXI wieku musi zakładać, że jej czytelnik szuka wszechstronnego i interdyscyplinarnego opisu zjawisk literackich, które układają się w dynamiczną całość, uwzględniającą nie tylko następstwo w czasie autorów i dzieł oraz charakterystykę gatunkową prezentowych utworów, lecz również usytuowanie literatury w życiu jednostki (twórcy i odbiorcy) oraz społeczności (władza i instytucje kultury; zmieniające się formy przekazu). Pojawiają się w niej wątki polskie, nawiązujące do historycznych i literackich kontaktów pomiędzy Polską i Hiszpanią, które od zawsze interesowała polskich romanistów i hispanistów (Edward Porębowicz, Józef Dzierżykraj-Morawski, Władysław Folkierski, Stefania Ciesielska-Borkowska, Maria Strzałkowa, Gabriela Makowiecka, Krystyna Niklewiczówna, Zofia Karczewska-

Markiewicz, Florian Śmieja, Teresa Eminowicz-Jaśkowska, Urszula Aszyk, Kazimierz Sabik, Eugeniusz Górski, Piotr Sawicki i in.). Na podobieństwo doświadczeń historycznych Polski i Hiszpanii zwrócił uwagę, jako pierwszy, Joachim Lelewel, pisząc *Historyczną paralelę Hiszpanii z Polską w wieku XVI, XVII i XVIII w.* (powst. 1820, wyd. 1831). Po roku 1989 chętnie porównywano proces przemian polityczno-społecznych, jakie zachodziły w Polsce, do okresu transformacji ustrojowej w Hiszpanii po 1975 roku. Tego typu paralele, jakkolwiek nie są wolne od uproszczeń, pomagają dostrzec istotę zjawisk zachodzących w historii, kulturze i literaturze Hiszpanii. Ważnym punktem odniesienia są także motywy i mity literackie (Cyd, don Juan, don Kichot), dzieła i twórcy hiszpańscy (Miguel de Cervantes, Lope de Vega, Pedro Calderón de la Barca, Miguel de Unamuno, José Ortega y Gasset, Federico García Lorca) należący do kanonu literatury światowej. Poświęcono im najwięcej uwagi, wchodząc w polemiczny dyskurs z utrwalonymi – często stereotypowymi – sądami. Hispanistyka jest bowiem obecnie jedną z prężniejszych dziedzin studiów filologicznych i kulturowych w skali światowej. To nowe opracowanie dziejów literatury hiszpańskiej – napisane dla polskich czytelników – odwołuje się do najnowszego stanu badań, uwzględniając szerokie spektrum zjawisk literackich w ich antropologicznym, historycznym, socjologicznym i kulturowym uwarunkowaniu.

Jeszcze jedno ważne uściślenie – prezentowana *Historia*

literatury hiszpańskiej skupia się na tekstach, które wpisują się w dziedzictwo języka hiszpańskiego, zwyczajowo i historycznie identyfikowanego z językiem kastylijskim. Problem sam w sobie stanowi literatura hiszpańskiego średniowiecza, składająca się na wyjątkową – kulturową i językową – mozaikę. Mieszkańcy Hiszpanii porozumiewali się (i porozumiewają nadal) również w innych językach – galisyjskim w Galicji, baskijskim w Kraju Basków, katalońskim w Katalonii, Walencji i na Balearach. Każdy z tych języków wykształcił własną kulturę i piśmiennictwo, wchodząc w relacje z literaturą powstającą w języku hiszpańskim, czyli „kastylijskim" (*castellano*). Ten zespół zjawisk odpowiada dynamice zestawienia pojęć centrum i peryferia, które na przestrzeni dziejów Hiszpanii przybierało różne formy. Debata dotycząca wyznaczników hiszpańskiej tożsamości narodowej lub składających się nań odrębnych tożsamości, tworzących wielokulturową i językową rzeczywistość Hiszpanii stanowi, począwszy od XIX wieku, wciąż żywy nurt hiszpańskiej refleksji. „Niekastylijskie", czyli literatury „mniejsze" Hiszpanii, w tym opracowaniu nie mogły zostać potraktowane w sposób wyczerpujący: kwestie związane z literaturą języka katalońskiego, galisyjskiego i baskijskiego przywoływane są wówczas, gdy wpisują się w główny nurt dziejów literatury hiszpańskiej.

Układ książki odpowiada chronologicznemu wykładowi historii literatury hiszpańskiej, który dla potrzeb tej syntezy został

poszerzony o przedstawienie głównych tendencji, jakie obserwujemy w literaturze najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem autorów cieszących się w Polsce popularnością. Najobszerniej nakreślono obraz literatury Złotego Wieku, a właściwie dwóch „złotych wieków", bo termin *Siglo de Oro* w hiszpańskiej historiografii obejmuje XVI i XVII wiek oraz *Edad de Plata*, czyli „srebrnej epoki" hiszpańskiej kultury, której granice zakreślają dwie traumatyczne daty – rok 1898 (utrata ostatnich kolonii zamorskich) i 1936 (wybuch wojny domowej). Te dwie epoki należą do najświetniejszych i najbardziej twórczych w dziejach kultury hiszpańskiej. Jako że ta synteza jest adresowana m.in. do studentów kierunków humanistycznych, dla których język hiszpański jest jednym z języków wykładowych, w tekście została uwzględniona oryginalna terminologia w odniesieniu do gatunków i form literackich nawet wówczas, gdy istnieją polskie ekwiwalenty (np. romans łotrzykowski / *novela picaresca*; romans pasterski / *novela pastoril*; romanca / *romance*). W przypadku tłumaczeń tytułów dzieł przyjęto jako zasadę, iż w nawiasie podany jest polski tytułu zapisany kursywą, jeśli dzieło zostało przetłumaczone na język polski, np. *Cantar de mio Cid* (*Pieśń o Cydzie*), którego przekład autorstwa Anny Ludwiki Czerny ukazał się w Krakowie w 1970 roku, czy Jorge Manrique *Coplas que fizo por la muerte de su padre* (*Strofy na śmierć ojca*); ten drugi utwór przytoczony został w przekładzie Zygmunta Wojskiego, który wyraził zgodę na ogłoszenie fragmentów niepublikowanego jeszcze tłumaczenia tego

poematu, jednego z arcydzieł późnego średniowiecza w Hiszpanii. Tytuły podane w wersji polskiej bez kursywy odnoszą się do dzieł, które nie zostały przetłumaczone na język polski, np. Antonio Muñoz Molina *Todo lo que era sólido* (Wszystko to, co było trwałe, 2013). Cytowane w tekście tłumaczenia, o ile nie podano inaczej, sporządzone zostały przez autorkę.

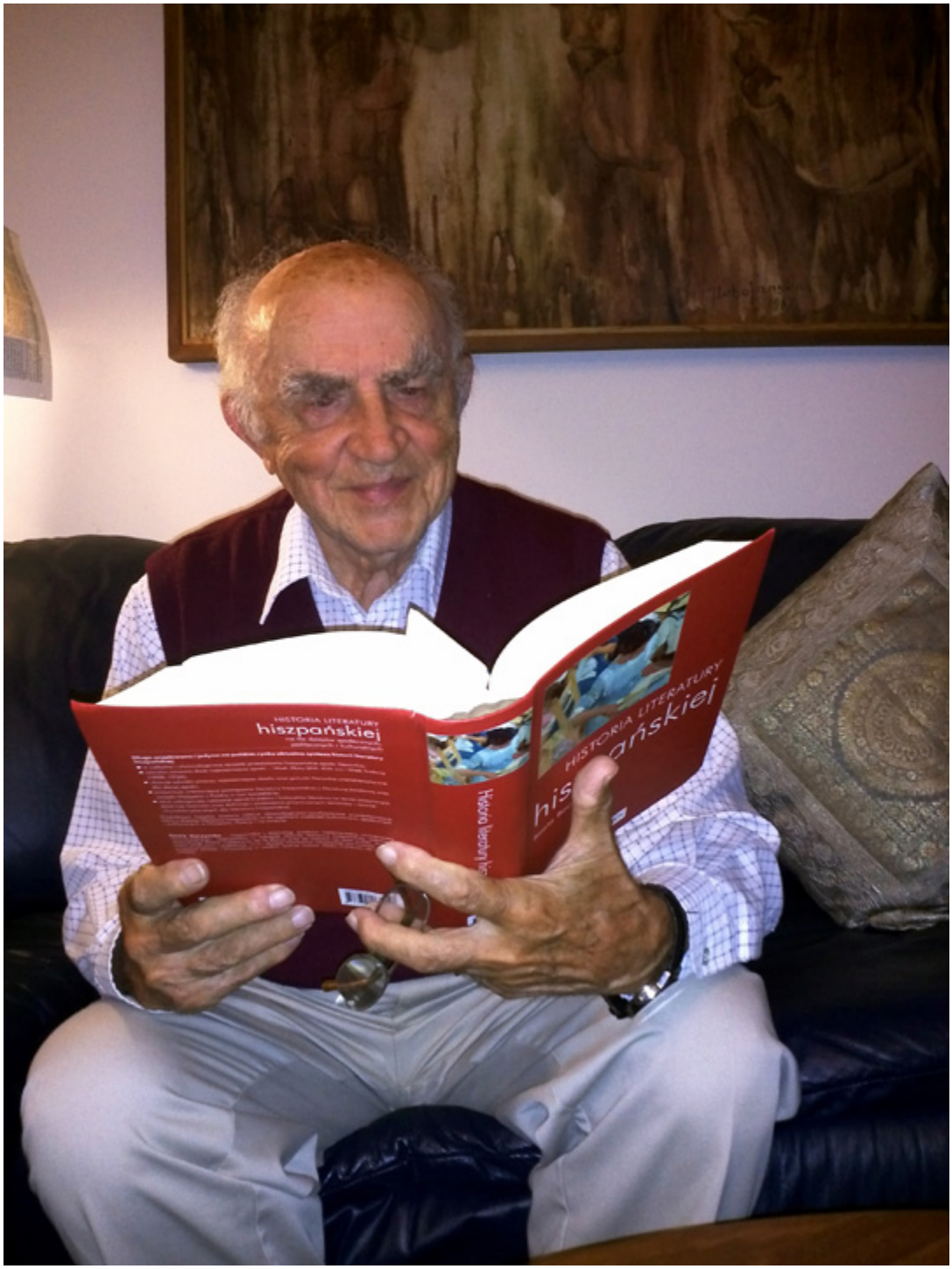
Książka przeznaczona jest dla wszystkich zainteresowanych fenomenem kultury hiszpańskiej, podejmuje wątki obecne w pracach coraz liczniejszego grona polskich hispanistów, działających w kraju i zagranicą. Intencją autorki jest bowiem przybliżenie nowego spojrzenia na kulturę Hiszpanii, uwolnienie jej od ciążących na jej obrazie stereotypów, tym bardziej, że jest to kraj, który – pomimo geograficznego oddalenia – postrzegany jest od dawna jako kulturowo i mentalnie bliski Polakom i Polsce. W dobie powszechnego dostępu do informacji i tekstów w formacie elektronicznym w portalach internetowych, na czele z wzorcową hiszpańskojęzyczną biblioteką wirtualną – *Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes* (www.cervantesvirtual.com), ta *Historia literatury hiszpańskiej* chciałaby stać się kompendium, które pozwoli zrozumieć długofalowe procesy, jakie determinowały i determinują wyjątkowy potencjał kulturowy literatury tworzonej w języku hiszpańskim na Półwyspie Iberyjskim. Tekst każdej części uzupełnia wybór bibliografii. Uwzględnione zostały w nim opracowania książkowe w języku polskim i hiszpańskim, a w uzasadnionych wypadkach również w

innych językach (angielskim, niemieckim, francuskim), oraz wydania polskich przekładów omawianych tekstów literackich (w wyborze). W części bibliograficznej – wzorem najnowszej, zaplanowanej na dziewięć tomów, historii literatury hiszpańskiej, która powstaje pod redakcją José-Carlosa Mainera (*Historia de la literatura española*, Barcelona 2010-) – umieszczone zostały również tematyczne portale, prowadzone przez zespoły badawcze w Hiszpanii.

Autorka dziękuje wszystkim – bliskim, przyjaciołom i kolegom, którzy wspierali ją w trakcie przedłużającej się pracy nad książką, w sposób szczególny prof. Florianowi Śmieji, nestorowi polskich hispanistów oraz Josepowi Antoniemu Ysern i Lagarda, tłumaczowi polskiej literatury na język kataloński, za uważną lekturę jej pierwszej redakcji i cenne wskazówki.

Wstęp do „Historii literatury hiszpańskiej”

Beata Baczyńska, „Historia literatury hiszpańskiej”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2014.



Prof. Florian Śmieja z książką swojej byłej doktorantki.

Profesor Beata Baczyńska odbierała kiedyś doktorat z rąk prof. Floriana Śmieji. Po latach, w 2015 r. wręczała doktorat honoris causa swojemu byłemu promotorowi. Na spotkaniu w Dolnośląskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu wspominała

swoje pierwsze spotkanie z profesorem Florianem Śmieją w 1989 roku w Madrycie:

> To był właściwie przypadek. Podczas konferencji na Uniwersytecie w Madrycie, po wykładzie prof. Gabrieli Makowieckiej rozmawiałyśmy po polsku i wtedy podszedł do nas prof. Śmieja. Znałam jego nazwisko z licznych publikacji – był legendarną postacią dla studentów hispanistyki w Polsce. Dla mnie był wówczas kimś mitycznym, niematerialnym, a tu nagle zobaczyłam człowieka z krwi i kości. Okazało się ponadto, że moje zainteresowania badawcze są bliskie panu Profesorowi i od niego właśnie dowiedziałam się, że rękopisy sztuk, które mnie interesują, znajdują się w Ossolineum. Przekazał mi swoje kwerendy.
>
> Na skutek zmian politycznych i dzięki prof. Sawickiemu udało się zaprosić Profesora na wykłady, które stały się regularne. Dzięki Niemu formacja moja i moich kolegów dała zupełnie inne, nowe owoce. (B. Lekarczyk-Cisek, Dotykanie świata w: „Spotkajmy się we Wrocławiu”, nr 1/34-2017).

Bal kostiumowy, cesarska wizyta i figle księcia Czartoryskiego



Muzeum Książąt Czartoryskich w Puławach, fot. WybieramPulawy.pl

Joanna Sokołowska-Gwizdka

> Patrząc na te płoche zabawy, jeden z ambasadorów Solimana II, powróciwszy do Stambułu, rozpowiadał, że w pewnej porze roku chrześcijanie dostają wariacyi i że dopiero jakiś proch sypany im potem w kościołach na głowy leczy takową

– pisze Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej" na temat karnawału w dawnej Polsce, widzianego oczami obcokrajowca. Karnawał w dawnej obyczajowości polskiej był okresem szczególnym. Na dworach, w zamkach i pałacach odbywały się wystawne uczty, połączone z balami, kuligami przy pochodniach i innymi atrakcjami, trwającymi czasami i kilka tygodni. Jeżdżono saniami od dworu do dworu i pozostawano na miejscu parę dni. Na arystokratycznych dworach zabawiano się organizowaniem bali kostiumowych, w które wkładano dużo pracy i wysiłku, aby zaaranżowana scena była jak najbardziej wiarygodna. Każdy z uczestników balu pełnił bowiem odpowiednią funkcję, do której upoważniał go kostium. To był ten szczególny czas, kiedy można było stać się kimś innym, sługa – panem, a dama ubrana na co dzień w krynoliny i ciasne gorsety, mogła bez obaw wystąpić na balu jako nimfa, w zwiewnych, odkrywających nieco ciało szatach…

Różnego rodzaju opisy zabaw karnawałowych można znaleźć w

pamiętnikach z dawnych epok, w listach, materiałach archiwalnych, zeszytach i komentarzach. W zbiorach księdza Franciszka Siarczyńskiego, historyka i kronikarza zaprzyjaźnionego z rodziną Czartoryskich (Familią) można znaleźć m.in. kilka anegdot i historii na temat Księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego, Generała Ziem Podolskich oraz życia jego dworu. Oto kilka opowieści „wyciągniętych z kufra", na podstawie rękopiśmiennych zapisów.

Karnawał był czasem, w którym obdarzeni poczuciem humoru mogli płatać różne figle, a powtarzane przez lata i ubarwiane legendy na ich temat zachęcały innych do wymyślania żartów.



Książę Adam Kazimierz Czartoryski, Élisabeth Vigée Le Brun, portret, olej na płótnie, 1793 r.



Księżna Izabela z Flemingów Czartoryska, Aleksander Roslin, portret, olej na płótnie, 1774 r.

Książę Czartoryski odznaczał się dużym poczuciem humoru. Słynna stała się pewna wielka mistyfikacja, którą młody wówczas Adam Kazimierz precyzyjnie zaplanował. Cała Warszawa przez długi czas o niczym innym nie mówiła. Otóż wynajął on sobie na przedmieściach stolicy tzw. stancję i rozgłosił wieść o przybyciu do Warszawy tajemniczej osoby – proroka chińskiego, który przepowiada przyszłość. Wieść szybko się rozeszła, toteż osoby ciekawe swoich przyszłych losów tłumnie zaczęły przyjeżdżać do tajemniczego wróża. Były to głównie kobiety z dobrego warszawskiego towarzystwa. Ponieważ książę Adam wszystkie te osoby znał, lub słyszał o ich problemach, więc z łatwością trafiał

w to, co chciały usłyszeć, uwiarygadniając przy tym swoją wiedzę tajemną znajomością różnych detali z ich życia. Wzbudzało to wielki podziw, a legenda o tajemniczej osobie zataczała coraz większe kręgi i coraz więcej utytułowanych dam zachodziło w skromne progi na przedmieściach. Ubrany był przy tym odpowiednio – *plaster duży przyłożony na jednym oku, czynił go zupełnie nie poznanym*. O tym żarcie wiedział szwagier księcia, Stanisław Lubomirski, Marszałek Wielki Koronny, który był wówczas Naczelnikiem Policji w Rezydencji Królewskiej. Nie przestawał więc on głosić, że wkrótce pozbędzie się z Warszawy tego szarlatana – *co damom tym większym było powodem do pośpiechu korzystania z krótkiego pobytu tej tajemniczej osoby.* Mistyfikacja trwałaby jeszcze długo, gdyby niejaka pani Szaniawska, Starościna Małogorska, nie zauważyła soliterki Księcia Adama, czyli modnej w 2 poł. XVIII wieku małej karety na jedną osobę, która wracała z tego miejsca, gdzie urzędował tajemniczy wróż, a znając figlarny charakter młodego Czartoryskiego, wpadła na pomysł, że to on sam jest tym chińskim prorokiem, no i odkryła tajemnicę. Księżna Generałowa, żona księcia Adama, wiedziała o tej mistyfikacji i uczestniczyła w zabawie, ale ojciec, Wojewoda Ruski *poważnych obyczajów, nie chciał się poznać na tym żarcie i mocno na to ubolewał.*

Inna anegdotyczna historia zdarzyła się w Londynie. Pewnego dnia młody książę Czartoryski wszedł do sklepu z okularami.

Zastał tam dwóch polskich Żydów. Starszy z nich był sprzedawcą, a młodszy pomocnikiem. Książę obejrzał szkła, wybrał i płacąc powiedział po polsku: *mażci człowieku.* Sprzedawca spojrzał bystro na księcia i mówi – *to Wać Polak, a skąd Wać jesteś?* – Książę na to – *z Jarosławia*. – *Czy Wać nie Pana Wapiarskiego syn, albo Pana Sławika?* – powiedział sprzedawca, wymieniając z pamięci nazwiska zamożniejszych jarosławskich mieszczan. Na to młodszy, pomocnik, patrząc na księcia jak w tęczę, zwraca się do starszego. – *Ciszy głupi, to sam Książę Adam.* Po tych słowach obaj padli na kolana, a książę przerażony uciekł ze sklepu. Szybko potem rozeszła się wieść po Londynie, że ktoś przemówił do polskich Żydów w nieznajomym języku, a ci popadali przed nim na twarz. *(przyp. 1)*



Pałac Książąt Czartoryskich w Puławach na starej rycinie.

Od tego czasu minęły lata. Po trzecim rozbiorze Polski kwitnąca rezydencja w Puławach znalazła się na terenie zaboru rosyjskiego. Książę jednak szanował wolność narodową i jej tradycje, wobec tego przeniesiono rezydencję do Sieniawy, znajdującej się na terenie Galicji, gdzie było więcej swobód. Najwięcej materiałów dotyczących rodziny księcia w zbiorach księdza Siarczyńskiego pochodzi z początku XIX wieku, kiedy Czartoryscy mieszkali w Galicji.

Dom Księcia Czartoryskiego i jego żony Izabeli z Flemingów

> odznaczał się gościnnością, którą najtrafniej nazwać by

> można gościnnością staropolską – pisze ks. Siarczyński. – (…) Książę lubił ubiór Narodowy i chciał, aby szanowano dawne zwyczaje, w celu utrzymania ducha Narodowego i wzbogacania go tem wszystkim, co było dobrego u innych Narodów Europejskich. Te owoce zagraniczne – mawiał on – powinny być wszczepione w stary pień Narodowy, dla ulepszenia soków bez zatracenia ich narodowości.

Jeden z opisywanych przez księdza Franciszka bali kostiumowych, odbył się w Sieniawie 21 stycznia 1819 roku. Wyobrażono sobie jakieś mityczne państwo, rządzone przez szlachetnego króla i królową. Król był sprawiedliwy i praworządny, dbający o naukę i historię swojego narodu, był patriotą i szanował swoich poddanych. Oczywiście osobą tą miał być książę Adam Czartoryski. Dużo z cech króla przedstawionych przez autora scenariusza balu, przypominało rzeczywiste cechy i zasługi księcia. Możliwe, że taki utopijny kraj miał być wyobrażoną Polską, gdyby zamiast Stanisława Augusta Poniatowskiego wolną elekcję wygrał książę Adam. W Sieniawie, gdzie musiano się przenieść po trzecim rozbiorze, marzenia o wolności i suwerenności miały swoje szczególne uzasadnienie. Mimo, że trudno było komuś, kto układał scenariusz balu nie włożyć w słowa poddanych ukłonu w stronę księcia i księżnej, widać było w tej zabawie dużo elementów z poglądów księcia Adama i z jego pracy np. na rzecz Komisji Edukacji Narodowej.

Bal, korzystający z elementów etykiety dworskiej na królewskich dworach Europy, wyglądał w ten oto sposób.

O godzinie 8 wieczorem, wszyscy, którzy należeli do Orszaku Najjaśniejszej Królowej, czyli Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, uroczyście weszli do Pałacu i przy dźwiękach muzyki wykonywanej przez orkiestrę pod dyrekcją pana Wincentego Zawilskiego udali się do Wielkiej Sali. Nieprzypadkowa była kolejność w orszaku. Najpierw szło dwóch Szambelanów, potem Dygnitarz Wielki Koniuszy, Dygnitarz Wielki Podczaszy, następnie Marszałek Wielki, Łowczy Wielki, Jałmużnik, Minister Oświecenia, Mistrz Wielki, Connstable oraz Paziowie. Dopiero za nimi w orszaku szła Królowa, a za nią szli kolejno: dwóch paziów, osobny paź, który niósł ogon sukni królowej, Ochmistrzyni Wielka i damy dworu, dwie Damy Portretu, dwie Damy Pałacowe oraz dwie Damy cyfrowe. Na sali był już Król, czyli książę Adam Kazimierz Czartoryski. Orszak Królowej przeszedł Salę dookoła, a następnie Królowa usiadła obok Króla. Damy dworu zajęły miejsce tworząc pół okręgu od strony Królowej, a Dygnitarze, Szambelani, Paziowie ze strony Króla. Gdy wszyscy ustawili się według ustalonego porządku Minister Oświecenia zbliżywszy się do Króla Jegomości wygłosił mowę.

I tu w sprawozdaniu znalazły się informacje o rozkwicie nauk według przepisów Komisji Edukacyjnej. Potem kolejno do Sali wprowadzani byli pojedynczo przez Wielkiego Mistrza i

Wielkiego Marszałka posłowie z różnych narodów. Najpierw wszedł Poseł perski z orszakiem niewolnic, potem Poseł chiński także z orszakiem, następnie Poseł lapoński z orszakiem, Poseł z Królestwa Kongresowego, Poseł grecki i Rycerz Zakonu Krzyżaków. Wszyscy posłowie przemawiali w różnych językach, po polsku, grecku, a Rycerz Krzyżacki po węgiersku.

> Po skończonych tych ceremoniach zaczął się bal tańcem. – pisze Franciszek Siarczyński. Polska Królowa stworzyła bal z posłem perskim, a za nią cały orszak. Królowa była ubrana w Białą Suknię Paryską, zlotem haftowaną, miała grzebień wpół cyrkułu, który formował jak koronę, a którego były na dwa rzędy. Brylanty duże i perły na głowie, pod koroną, z tyłu głowy był woal rozpuszczony duży i długi, rękawy w sukni były szerokie i fornierami z brylantami były spięte, zgoła była pięknie i wspaniale ubrana, prawdziwie jak Monarchini i damy składające orszak były także w białych sukniach z woalami na głowie, z tyłu rozpiętymi, a na głowie miały diademy, mniej więcej bogate, a także perły, łańcuchy. Dygnitarze, Posłowie, szambelani, paziowie, wszyscy byli ubrani bogato i każdy miał ubiór do osób i narodów przystosowany. Zgoła była to zabawa bardzo piękna i wspaniała.



Pałac Książąt Czartoryskich w Sieniawie na pocz. XX w.

Mimo represji, jakie spotkały Czartoryskich w Puławach, rodzina utrzymywała z cesarzem Rosji poprawne stosunki, przygotowując w tym czasie projekt ratowania Polski. W Galicji można było przyjąć cesarza Aleksandra jak gościa i to nie z pozycji poddanego. Wizyta Cesarza Rosji w Sieniawie zimową porą opisana została w liście do Salomei z Siarczyńskich. *(przyp. 2)*

> Aleksander Cesarz Rosji w Sieniawie w roku 1818 czyli pobyt jego u Ksiażąt Czartoryskich.
>
> Już tedy Aleksander Cesarz Ross. przyjechał (...). W Jarosławiu nie był, więc nie witać go nie wypadało. W Wilię

jego przyjazdu wyjechał naprzeciw niego Książę Wojewoda Czartoryski do Łańcuta (Księżna Marszałkowa Lubomirska z Łańcuta była siostrą Księcia. Adama, przyp. red.), z chęci przyjęcia go tam na śniadanie, ale że Aleksander późno z Sędziszowa wyjechał i dopiero w Łańcucie o godzinie 1 po południu stanął, więc był na obiedzie i dopiero o 3 wyjechał. (…) (Do Sieniawy) przybył o wpół do siódmej. W sieni przyjmowali go Księstwo z Familią tylko, to jest Książę Adam z żoną, Księżna Wirtemberg (siostra Izabeli z Flemingów, żony Księcia Adama, przyp. red.), Ordynat Zamoyski i Adaś. Wszyscy reszta czekali w sali paradnie oświeconej, gdzie był przygotowany stół elegancko zastawiony do herbaty. Po przywitaniu zaprowadziła go Księżna do przygotowanego na przeciw sali pokoju. Księcia starego prowadziła Księżna Synowa. Tam grzeczności z obu stron nie skąpiono. W sali uszykowani czekaliśmy. Od komina półkole formowały mężatki, pierwsza była Krasicka, Generałowa, Drohojowska, dwie Dembińskie, Kochanowska, Prekowa, Urbańska, Jawornicka (…) Po ustępie niejakim stały panienki. Z drugiej strony półkoło formowali militarni. Na ich czele Generał, półkownik i 3 officerów. Dalej ja, Bukowski, Baworowski, dwóch Dembińskich, Aleksander Stadnicki, Urbański, Prek, Bobowski (…) Osobno z tyłu stali: Kries kapitan cyrkul., dwóch Komisarzów i Inżenier. Odzielnie ku drugim drzwiom stali obywatele niemundurowi. (…) Księżna starała się promować interes Drohojowskiego Gucia, który nogę pod

> Możajskiem stracił i prosił o krzyż, o rangę i zaległą płacę. (…) Potem prezentowali się Dembiński, dziękując za łaskę okazaną Maksymilianowi Fredro, który pomógł do otrzymania ręki panny Gołowin, której ojciec ma przeszło 30 000 intraty –pytał, czy jest kto tu z tego imienia? Przywołany Henryk Fredro przytomny, usłyszał grzecznie dla Maksymiliana wyrazy z oświadczeniem. (…) Przez czas trwania tańcu mazurka stał przy kominku z Księżną Wirtemberg i z tą rozmawiał, często się śmiejąc. A gdy się jej żalił na ufatygowanie w podróży, proponowała mu, aby się oddalił do swych pokojów. Uczynił to prosząc, aby tego niepostrzeżono. Tam do jego pokojów poszła z nim Księżna Generałowa, Wirtemberg, Książę Wojewoda z żoną, Wojewoda Zamoyski, a stary Książę pozostał w sali. Dano mu tam ponczu, który cesarz wypił chętnie. Nareszcie przyszła Księżna prosić Księcia starego, bo już cesarz wybierał się do wyjazdu. Oświadczył, że wolałby jechać sankami, zaraz je przygotowano, choć śniegu na sannę nie było. Pożegnanie Cesarza z Familią Czartoryskich było pełne grzeczności (…) Wsiadł tedy w odkryte sanki i okryte dywanem, obwinąwszy się tylko w płaszcz z kapeluszem stosownym na głowie. Konie były Księstwa, jako i Kozaków 6 jadących przed końmi z pochodniami. (…)

Muzeum Książąt Czartoryskich w Puławach







Franciszek Ludwik Siarczyński h. Sas (1758-1829), pijar, historyk, kronikarz wielu wydarzeń społeczno-politycznych z drugiej poł. XVIII wieku i początku XIX wieku. Zaprzyjaźniony z Familią, czyli z rodziną Czartoryskich, bywał także na słynnych obiadach czwartkowych Króla Stasia. Adam Kazimierz Czartoryski (ze wspomnień księdza Siarczyńskiego), pretendował do tronu polskiego, gdy jednak w 1763 roku nie został wybrany Królem Polskim, starał się w inny sposób służyć ojczyźnie. Od 1768 roku był komendantem Szkoły Rycerskiej w Warszawie. Był jednym z twórców Komisji Edukacji Narodowej, współdziałał w projektowaniu zmian ustrojowych podczas Sejmu Czteroletniego. Poparł Konstytucję 3 Maja i Powstanie Kościuszkowskie. Oprócz działalności społecznej i politycznej pisał sztuki teatralne, w których krytykował polskie przywary i namawiał do nauki, aby naród polski przetrwał. Był także członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk i współtwórcą „Monitora”. Od 1795 roku osiadł w Puławach, gdzie stworzył ważny ośrodek życia politycznego i kulturalnego. Jego żona, Izabela z Flemingów Czartoryska, stworzyła w Puławach muzeum pamiątek narodowych oraz śladów po znanych twórcach kultury europejskiej. Jednak ze względu na rosyjskie represje Czartoryscy musieli główną siedzibę przenieść do Sieniawy (Sienawa leżała w Galicji, gdzie były większe swobody). W 1812 roku Adam Kazimierz uczestniczył jako marszałek sejmu nadzwyczajnego w

napoleońskiej kampanii politycznej. Syn Księcia Adama Czartoryskiego. Adam Jerzy Czartoryski, po powstaniu listopadowym kupił kamienicę na wyspie św. Ludwika w Paryżu (Hotel Lambert) i tam stworzył dom otwarty dla polskich emigrantów, którzy mogli mieszkać ile chcieli, dostając wszystko, czego potrzebowali. Zatrzymał się tam np. Adam Mickiewicz .

Ksiądz Franciszek Siarczyński związany z Przemyślem i Jarosławiem w 1827 roku przeniósł się do Lwowa, by wspomóc prace organizacyjne Ossolineum. Temu dziełu poświęcił ostatnie trzy lata swojego życia. Jednym z pierwszych dyrektorów Biblioteki im. Ossolińskich został Adam Kłodziński, nauczyciel dzieci Czartoryskich i Potockich, wielki patriota i człowiek wykształcony, który występuje w opisie balu sporządzonego przez księdza Siarczyńksiego jako Poseł Królestwa Kongresowego. Przejął on archiwum księdza Siarczyńskiego po jego śmierci w 1829 roku.

Po drugiej wojnie światowej Biblioteka im. Ossolińskich została tylko częściowo przewieziona ze Lwowa do Wrocławia. Władze Związku Radzieckiego tłumaczyły, że np. spuścizna po Adamie Mickiewiczu czy Juliuszu Słowackim jest spuścizną narodu rosyjskiego. Dopiero po 1989 roku i zmianach politycznych powrócono do rozmów na temat oddania reszty zbiorów wchodzących w skład Biblioteki im. Ossolińskich. Po wielu latach przyjechały więc do Wrocławia cenne rękopisy, a także zostały

przywiezione skrzynie z różnymi zbiorami, m.in. po dyrektorze Kłodzińskim, razem z materiałami księdza Siarczyńskiego.

Artykuł powstał na podstawie rękopiśmiennych materiałów ze zbioru księdza Franciszka Siarczyńskiego.

Przypisy:

1. *Szczegóły z życia Jaśnie Oświeconego Księcia Adama Czartoryskiego, Generała Ziem Podolskich (Rkps. Ossol. 535/III, s 3, 28, 293, 294, 295).*

2. *List ten pisany z Sieniawy dnia 28 Grudnia 1818 r. do Salomei z Siarczyńskich Żychlińskiej, znajduje się w zbiorze oryginalnych listów X. Franciszka Siarczyńskiego, uczynionym przez jego przyjaciela i sąsiada, Adama Rościszewskiego i przez tegoż darowanym Zakładowi im. Ossolińskich w roku 1833. Jest on w tym zbiorze w porządku czwartym (Rkp. 0ssol. 2256/I).*